№ 31. Warszawa, dnia 4 Sierpnia (23 Lipca) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. **7**.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

KROK W TYŁ.

Bezkrwawe walki o sprawy ekonomiczne przechodzą często niepostrzeżenie w oczach „specyalistów od polityki," nie budząc żywszego zajęcia; ale rezultaty ich odbijają się donośnem echem w przyszłości, a historyk przypisze im kiedyś ważniejsze znaczenie od zdobytych twierdz i bitew wygranych. Niedawno właśnie Izba francuska była widownią starcia dwu zasad, określającego nietylko kierunek najbliższych działań, ale może i całą przyszłość trzeciej rzeczypospolitej. Mówię tu o głosowaniu w kwestyi upaństwowienia dróg żelaznych.

Rosnący wciąż rozdźwięk między kapitałem i pracą, bezwstydne orgie wielkiej produkcyi, pożerającej drobną wytwórczość i zwiększającej tym sposobem szeregi proletaryatu, a z drugiej strony postęp klas pracujących w uświadomieniu sobie przyczyn i warunków swego położenia oraz nagły wzrost partyj rewolucyjnych, dążących do wywrotu istniejącego porządku rzeczy — zwróciły nareszcie uwagę rządów. Swobodne współzawodnictwo, zalecane przez ekonomistów liberalnej szkoły, jako powszechne lekarstwo na choroby społeczne—okazało się bezskutecznem, co więcej, szkodliwem—pomyśleć więc trzeba było o zastosowaniu innych środków. Z lekkiej ręki księcia Bismarka socyalizm państwowy stał się nawet modnym. Jakkolwiek zwrot ten w wewnętrznej polityce wielkich państw nie przyniósł dotąd oczekiwanych rezultatów, pochodzi to głównie stąd, że związano go sztucznie ze wstecznemi zachciankami różnego gatunku feudałów i użyto ubocznie, jako środka wzmocnienia władzy. W demokratycznem jednak społeczeństwie francuskiem, wykonywane przez rząd, wybrany wolnemi głosami narodu — reformy społeczne powinny były znaleść grunt odpowiedni. Właśnie Francya i z innych względów nadawała się szczególnie na doświadczalnię tego rodzaju. W niej narodził się niegdyś socyalizm utopijny, jej uczeni podłożyli pierwsze podwaliny do krytyki ustroju społecznego, a przyzwyczajenie do szerokich reform i zmian radykalnych, jakobińskie tradycye, otwierające narozcież wpływom władzy szerokie sfery życia publicznego—wytwarzały, sprzyjające wszelkim próbom otoczenie. Wszystko jakby złożyło się na to, żeby Francya dała innym narodom przykład państwa, tworzącego nowe instytucye społeczne—drogą stopniowego, ciągłego rozwoju. Zresztą rozwiązanie kwestyi socyalnej stawało się coraz bardziej naglącą potrzebą. Zamydlanie oczu proletaryatowi za pomocą robót państwowych, wynalezione, a raczej odgrzane ze wzorów rzymskich cezarów przez Napoleona III, a praktykowane na szeroką skalę przez rząd republikański—było zbyt kosztownym i niebezpiecznym półśrodkiem. Dając bowiem robotnikom jedynie możność zaspokojenia głodu, doprowadziłoby w końcu skarb do nieuniknionej ruiny.

Zrozumiał to dobrze najwybitniejszy przedstawiciel mieszczańskiej rzeczypospolitej Gambetta i podczas krótkiego przebywania u władzy zapowiedział cały szereg gruntownych przeobrażeń. Upaństwowienie dróg żelaznych i co za tem idzie — zniżenie taryfy do możliwego minimum postawiono na porządku dziennym, jako jedną z najłatwiejszych do wykonania reform. Dla powiększenia liczby zwolenników projektu wprowadzono nawet w grę względy strategiczne, tak silnie przemawiające do patryotycznych serc francuzów.

Ale Gambetta wkrótce upadł — a reformy poszły do kosza. Dopiero gdy Ferry wystąpił, jako domniemany spadkobierca myśli i planów belwilskiego trybuna, powzięto nadzieję, że sprawa przyjmie pomyślny obrót. Nadzieja jednak okazała się płonną. Nowy rząd stanął po stronie wielkich towarzystw kolejowych i przedstawił Izbom projekt ugody, odejmujący na długo możność wykupu dróg żelaznych. Wniosek przeszedł znaczną większością głosów, a do przeprowadzenia go użyto wstrętnych, nikczemnych środków, pomiędzy którymi nawet przekupstwo grało pewną rolę. Czy p. p. deputowani otrzymali łapówki, o co ich oskarża niedyskretny kolega Laisant, trudno dowieść (sprawy bowiem takie załatwiają się zwykle w cztery oczy); ale w każdym razie głosowanie z 22 lipca legnie brudną plamą na sumieniu republikańskiej większości. Rozprawy naznaczono przed samemi wakacyami, kiedy rozjeżdża się znaczna liczba deputowanych, komisyi nie dano czasu rozejrzeć się w mnóstwie dokumentów, słowem puszczono w ruch takie sposoby, jakich powstydziłby się użyć nawet kanclerz niemiecki. Zgnilizna moralna mieszczańskiej inteligencyi wystąpiła przy głosowaniu na jaw w całej ohydzie. Przedstawiciele narodu postarali się wytargować mnóstwo drobnych ustępstw lub zmian, bądź to we własnym interesie, bądź dla usprawiedliwienia się w oczach wyborców. Za cenę poświęcenia interesów kraju na rzecz zgrai giełdowych oszustów — otrzyma Francya pewną liczbę nowych stacyj i dróg wicynalnych. Ale opinia publiczna liczmanami tymi zdurzyć się nie da. Prawda, że gdy z łona opozycyi rzucono w twarz większości ciężkie oskarżenie i podniesiono rąbek zasłony, kryjącej występne machinacye, Izba oświadczyła ustami swego prezesa, że ona, niby małżonka Cezara, nawet podejrzeniom ulegać nie może i dlatego obrazy dochodzić nie będzie. — ale czy oszuka kogo ta przesadzona dostojność i mniemana wyrozumiałość?

Przedstawiciele rzeczypospolitej własnemi rękami kopią coraz głębszą przepaść między ludem i spanoszonem mieszczaństwem. Od jednego zamachu, bez żadnych ograniczeń, bez zastrzeżeń oddają wielkim kapitalistom na pastwę przemysł, handel, rolnictwo, słowem wszystkie interesy ekonomiczne Francyi, na których rozwój drogi żelazne mają wpływ niezaprzeczony. Mniejsza jednak o to, wobec faktu, że odrzucono zasadę inicyatywy państwa, podkopano podstawy spokojnego, legalnego rozwoju, osłabiono szacunek dla republikańskiej formy rządu. Życie stać w miejscu nie może: kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Wyrzekając się dojrzałych reform, rząd popycha masy na drogę spisków i buntów, niechcąc, według dowcipnego określenia Thiersa, zrobić oszczędności z jednej chociażby rewolucyi.

PRAKTYCZNY.

Niech cię radami wesprę memi,
Byś się nie potknął, idąc w świat...
Najprzód — w tej waszej akademii
Powiedzą tobie, że na ziemi
Każdy obdartus jest ci brat.
Głupstwo, wierutne głupstwo, Janiu,
Spłodził je bzików głodny ród.
Każdy z nich prawi o kochaniu,
Kiedy jest na czczo... Po śniadaniu
Inną piosenkę rznie, jak z nut.
Nie mówię jednak, byś kolegów
Zaraz na wstępie zrazić miał —
Owszem, nie rzucaj ich szeregów,
Ale używać trza wybiegów,
Gdyby ci który wziąć coś chciał.
Masz tutaj liścik do prezesa—
I do radczyni drugi masz.
Gdy będziesz z nimi, ślij do biesa
Wszystkie półgłówków tych ekscesa:
Mów, że nic nie wiesz, ani znasz...
Zdarzyć się również może snadnie,
Że wpadniesz w miłe grono dam —
Pamiętaj sprawić mi się ładnie:
Tam dużo kłamać ci wypadnie,
Ha, trudna rada! kłam już, kłam!
Kiedy w salonie suknię księdza
Przypadkiem ujrzysz — damy rzuć.
Mów, że nas ciężka trapi nędza
Niewiary, że to z piekieł jędza —
Proś, by ratował biedną młódź.
Wpadnie ci w oko jaka panna,
Do hypoteki zajrzyj wczas...
Twym hasłem baczność nieustanna —
Pamiętaj: panna i sutanna
Do wrót karyery wiodą nas.

Maryan Bohusz.

Z dziejów oświaty

(notatka pod rokiem 1783).

Schyłek XVII-go i pierwsza połowa XVIII-go wieku odbiły się ciemną plamą na karcie historyi oświaty w Polsce. Cokolwiek moglibyśmy powiedzieć ku obronie epoki jezuickiej, zjawisko opadnięcia poziomu wiedzy w narodzie pozostanie faktem niezaprzeczonym. Ogół ówczesnych utworów literackich jest obrazem nędzy, — a takie wypadki, jak stracenie Łyszczyńskiego (mniemanego ateisty) w 1689, odebranie głosu protestantowi na sejmie w 1718, „sprawa toruńska“ w 1724 r. — stanowią szereg wytycznych punktów najgłębszej niziny ducha i smutną galeryę zwierciadeł, w których przegląda się oblicze — nie jedynych może, ale głównych sprawców upadku. W piątem i szóstem dziesięcioleciu, pod wpływem „króla dobroczynnego“ („Le roi bienfaisant“), Stanisława Konarskiego i Czartoryskich—wzrasta drużyna dobrych przewodników:—upojone ucztami, społeczeństwo szlacheckie budzi się z uśpienia. Ale jakże był leniwym, jak powolnym ten szczęśliwy a konieczny do samowiedzy powrót! Ileż to ksiąg napisano, ile walk stoczono, zanim pokaźna liczbą inteligencya nasza zajęła, w przeddzień sejmu czteroletniego, znacznie już podniesione, europejskie stanowisko... Cudu tego dokonała rozumna wola Stanisława Augusta, jego poprzedników i towarzyszów, przy pomocy rószczki czarodziejskiej — mądrej szkół reformy. Chcąc się przekonać, czem byliśmy, czem błyszczała *nasza korona* około r. 1750, a czem w kilkanaście lat później, porównajmy tylko podręczniki szkolne z dwu epok sąsiednich. Mam właśnie przed oczyma parę takich książek: *Wybór królestw, albo krótkie opisanie czterech części świata* —przez uczonego profesora-jezuitę, księdza Jana Drewsa, z r. *1755*, i *Geografię czasów teraźniejszych*... ks. Karola Wyrwicza, z r. *1768*: obie doczekały się wielu wydań, obie wycisnęły pewno potu niemało z mózgownicy niepojętnego ucznia; ale między niemi tak wielka zachodzi różnica, jakby to były płody dwu, znacznie oddalonych od siebie wieków. Dziełko Drewsa (podobne formatem, rozmiarem, a poniekąd i wartością, do używanej po szkołach przed dwudziestu kilku laty, historyi Kajdanowa) jest potwornym wyrazem steologizowania okruchów nauki, noszącej miano geografii, czyli ziemioznawstwa: o wszystkich ścieżkach, wydeptanych stopą jezuity, o cudach—sadzawkach, napełnionych rybami—tylko podczas wielkiego postu, kamykach ze znakiem krzyża, liściach wielkiego drzewa peruańskiego, naśladujących książeczki do nabożeństwa—ciekawy czytelnik najdokładniejsze znajdzie tam wiadomości; ale nad te, rozsypane malowniczo po globie ziemskim ziarna różańcowe, większą niespodziankę sprawi mu niezawodnie opis krajów Europy, gdzie w alfabetycznym szeregu —po „Luzytanii“ (Portugalii) następuje „Moskwa,“ a w dalszym ciągu „*Palestyna*“ (sic!), „Polska“ etc. O wielkiem już podówczas państwie ościennem, którego monarchowie w 1709, 17 i 33 r. losy Rzeczypospolitej rozstrzygali, taką młodzieży podano informacyę: „Moskwa zamyka 4 królestwa—Kazanu, Astrachanu, Bulgaryi, Siberyi, 24 księstw—między którémi znaczniejsze są: Nowogrodzkie, Włodzimierskie, Rożańskie, Smoleńskie (którego miasto stołeczne znaczną grubością murów zaszczyca się) i Kijowskie, gdzie Ruska Akademia, wielkie podziemne pieczary i znaczna czerców liczba...“ Pograniczne więc mocarstwo o ustroju ściśle samowładnym—jest w oczach rektora z Brunsbergu jakąś federacyą drobnych organizmów! Czyż wobec tego można się dziwić, że mnoga ciżba uczniów, poselskie później zalegająca stołki, nie wiele o sąsiadach wiedząc, tak uparcie broniła starego nierządu?... Przy Drewsie, który przedstawia, jak widzimy, idealny niemal wysiłek poświęcanej bezczelności, Wyrwicz jest olbrzymem. *Geografia czasów teraźniejszych*, ułożona sposobem katechizmowym, — to prawdziwy skarbiec

---

4)

Małżonkowie Mistress Skaggs.

Bret-Harte'a.

Miał wyjść i kapelusz wcisnął był już na czoło. W tem przed szklanemi, na galeryę wiodącemi drzwiami, zatrzymał się nagle — jakby skamieniał.

— Na Boga żywego! Kto to?

Islington wychylił się przez okno. Rąbek białej sukni znikał za werandą.

— Miss Masterman! — Co ci się stało, stary?

Bill blady, bez tchu, pognębiony—padł na krzesło.

— Nie — z cicha odrzekł — nie, czy nie masz czasem pod ręką „whiskey?“

— Kto to... ta... miss Masterman—pytał, wychyliwszy do dna podany przez Islingtona kieliszek.

— Miss Masterman jest córką mr. Mastermana, a właściwie, jak sądzę — przybraną córką.

— Ale prawdziwe, prawdziwe jej nazwisko?

— Nic nie wiem o niem — odrzekł Islington. Pytania te zaczynały go gniewać.

— Nie wiesz bo... Tu Yuba Bill urwał nagle, powstał, zamknął drzwi, później okno, zbliżył się do Islingtona, odszedł, a potem siadając na dawnem miejscu i naprożno siląc się na uśmiech, rzekł:

— Wiesz przecie, żem był żonaty?

— Nie wiedziałem o tem — odrzekł Islington.

— Fakt, Tomy, fakt.

Islington, czując, że mu coś powiedzieć wypada, spytał:

— Z kimże byłeś żonaty?

— W tem właśnie sęk — przez zaciśnięte zęby Yuba Bill mówił. Z kim? Łatwo to powiedzieć! Z kim? — Nie wiem; z dyablicą może... W każdym razie żona moja była żoną pół tuzina mężów.

— Jakto?

Oryginalna charakterystyka małżeńskiego pożycia nie wywołała uśmiechu na zachmurzoną twarz Islingtona. Bill złagodniał i przysuwając się, tak dalej rzecz prowadził:

— Jechaliśmy z Watson. Noc chłodna była... Ktoś mówi do mnie: zatrzymaj się Yuba Bill — kłótnia w dyliżansie. Zatrzymuję konie, złażę z kozła, otwieram portyerę — krzyk, wrzawa, pijak jakiś turbuje swą żonę. Wdaję się w to, biorę ze sobą kobietę na kozieł... Jazda! Blada była, Tomy, blada i biała, z gatunku tych kobiet, co się nie rumienią i nie płaczą nigdy. Inna na jej miejscu we łzach-by tonęła... Nieraz mi to potem przychodziło na myśl. Wzrostu była słusznego, na plecy spadał jej snop włosów — koloru... szerści jelenie). Oczy czarne paliły o milę, a ręce i nogi, ot... takie malusie. Pyszna, co się zowie, pyszna bestyjka.

Zatrzymał się, własnym zmieszany entuzyazmem, a po chwili dodał obojętnie:

— Wiesz, Tomy, jechała do Murphy.

— Tak...

— Tak, widywaliśmy się często, i kiedy sama jechała, zajmowała zwykle miejsce obok mnie, na koźle. Męża miała opilca, brutala. Nie widywałem go wcale, był podówczas we Frisko. Ale, Tomy, między nami nie było nic, nic nierzetelnego nie było.

— Przyszło jednak do tego — ciągnął— że musiałem sobie powiedzieć: Yuba Bill, zmykaj, pókiś cały. Zmieniłem trakt. Czy znałeś Jacksona Filltree?

— Nie, nie znałem.

— Słyszałeś o nim?

— Nic a nic — odrzekł, przerwą w opowiadaniu zniecierpliwiony, Islington — na co wszakże Bill uwagi nie zwracał.

Historya, powiadam ci, historya! Był ekspresem z White do Summit — i gdy raz przejeżdżać musiał przez North Fork, mówi do mnie: Fatalna przeprawa! Coś mię tknęło, że tam kark skręcę. Odpowia-

erudycyi, oparty na gruncie zdobytych podówczas w Europie zachodniej wyników nauki. Jan Bohomolec w swym wyroku cenzorskim („judicium censoris“) słusznie nazwał ją dziełem — nietylko dla uczącej się młodzieży, ale i dla mężów stanu bardzo użytecznem („opus non solum ingenuae juventutis instruendae, sed etiam publicae rei administrandae curam habentibus utilissimum“). To też wielokrotnie ją później odświeżano, i w dobie nieurodzaju za pokarm duchowy podawano dzieciom, chociaż czas jej obiegu dawno już upłynął.

Dzieło Wyrwicza — to wzorowy okaz książki z doby Stanisławowskiej. Pod względem jednak chronologicznym należy ono do podokresu, w którym czuć się daje bezpośredni wpływ Konarskiego. Gienialny ten pijar, przekształciwszy w duchu postępowym szkoły swego zakonu, wywołał ruch na całym obszarze myślącej Polski. Hardzi synowie Lojoli wchodzić już poczęli w ślady pracowitej rzeszy Kalasantego. Stanisław August nareszcie wszystkie pojedyncze i kolegialne usiłowania kształcicieli społecznych — pod swą królewską przyjął opiekę. Burze jednak sejmowe, radomska zmowa, konfederacya barska, zawierucha krwawa, rozbiorem Rzeczypospolitej zakończona—przytłumiły rozwój kiełkującego już ziarna. Jednocześnie wszakże ze straszną klęską, jakiej doznał naród, spadł grom i na jego niefortunnych piastunów. Bulla Klemensa XIV (najzasłużeńszego z papieżów w historyi nowożytnej) rozwiązała zakon jezuitów (1773), a sejm, zgodnie z wnioskiem Chreptowicza, przeznaczył otrzymany po zgasłem stowarzyszeniu spadek na światło — nie dla kościołów, niestety, lecz dla ciemnych młodzieży polskiej umysłów. Ustanowiono więc Komisyę Edukacyjną, z biskupem Masalskim, jako prezydującym, na czele, a wkrótce potem „Towarzystwo do ksiąg elementarnych.“ Przez dwa lata drapieżni „patres patriae,“ w charakterze członków tak zwanej „Komisyi Rozdawniczej,“ dbając święcie o całość skarbu „wspólnej matki,“ chowali, co się dało, do własnego trzosa, aż sejm konfederacyjny w r. 1776 położył tamę tej arcy-patryotycznej zamianie kapitału publicznego na prywatny, i magistraturze wychowawczej, w sprawie zarządu funduszami—niezależne przyznał stanowisko. Od tej chwili, aż do zgonu Rzeczypospolitej, Komisya Edukacyjna, owo „pierwsze w Europie ministeryum oświaty,“—dzięki przywództwu takich mężów, jak: Michał Poniatowski (prymas), Chreptowicz, Ignacy Potocki, Adam Czartoryski, Andrzej Zamojski i inni — reorganizuje akademie, przekształca i zakłada szkoły, czuwa nad sumiennością i postępem rzeszy pedagogicznej, dba o utrzymanie tętna społecznego w przybytku nauki, słowem wywiązuje się ze swych zadań sumiennie a umiejętnie—tępi ciemnotę, krzewi światło w narodzie. Dla łatwiejszego zarządzania szkołami, rozsianemi po znacznych obszarach państwa, magistratura wychowawcza rozczłonkowała Koronę na sześć, Litwę na cztery t. z. „wydziały,“ powierzając naczelną opiekę nad wszystkiemi uczelniami dwu „szkołom głównym“ — krakowskiej i wileńskiej. Średnie zakłady dzieliły się: na *wydziałowe* (o sześciu klasach a dwuletnim kursie w piątej), *podwydziałowe* (niby dzisiejsze progimnazya) i *zakonne* (utrzymywane przez pijarów, ex-jezuitów, bazylianów i komunistów, a zostające pod wspólną z innemi kontrolą). Jak „szkoła główna“ rozciągała wszechstronną (pedagogiczną, administracyjną, finansową) pieczę nad zakładami danego kraju, tak *wydziałowe* ze swej strony używały prawa zwierzchniczego nad *podwydziałowemi* i *parafialnemi*. Cała ta nakoniec suma szkół, stanowiąca wielki łańcuch organicznie ustopniowanych towarzystw i stosunków, była czemś w rodzaju rzeczypospolitej, czy napół-świeckiego bractwa, którego czynni członkowie składali stan odrębny, zwany „akademickim.“

Ostateczny ustrój systemu, pod względem administracyjnym i wychowawczym, odnosi się do r. 1783, czyli do chwili ogłoszenia kodeksu, p. n. *Ustawy K. E. N. dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane.* Zastanówmy się nad główniejszemi punktami tego ze wszech miar cennego pomnika.

Kandydatem do „stanu akademickiego“ jest każdy młodzian, który po skończeniu szkół wydziałowych oświadczy chęć poświęcenia się temu zawodowi i wytrzyma przepisany prawem egzamin. Z odpowiedniemi świadectwami udaje się on potem do szkoły głównej i wchodzi w skład seminaryum nauczycielskiego (z płacą—w pierwszym roku 300, a w następnych trzech leciech czterystu złp.). Po ukończonych studyach wraca znów do swego „wydziału,“ w charakterze nauczyciela, z obowiązkiem sześcioletniej służby. Podczas tego wstępnego okresu—młody pedagog pobiera 400 złp. rocznie, oprócz *wspólnego* śród zgromadzenia *stołu* (który wynosi, według urzędowej rachuby, 600 złp. do roku). „Gdy zacznie uczyć dobrowolnie, weźmie (jak mówi ustawa) złp. 500 *ręcznej* pensyi;“ co rok następnie otrzymywać będzie dodatek w ilości 50 złp. — aż do 20 lat, czyli do chwili osiągnięcia emerytury (1000 złp.). „*Rektor* obierany bywa z tych tylko (nauczycieli), którzy lat osiem, *prorektor* (kierownik szkoły podwydziałowej) z tych, którzy lat sześć dobrowolnie oduczyli.“ Pierwszy otrzymuje (bez dorobkowej pensyi, podczas czteroletniego urzędowania) 1800, drugi — 600 złp. rocznie. Wszyscy bez wyjątku członkowie zgromadzenia akademickiego obowiązani są, niby spartańscy obywatele, zasiadać do wspólnego stołu. Od tego przepisu nawet rektor uchylać się nie może. Każdy z pedagogów dobru wychowańców i wogóle czynnościom swego zawodu całą duszą oddany być powinien *); na lekcye wszakże prywatne lub utrzymywanie pensyonatów — „ustawy kom. ed.“ przysięgłym nauczycielom pozwolenia odmawiają.

Ważniejszą o wiele częścią tego kodeksu wychowawczego są artykuły, odnoszące się do uczniów. Regularne, obowiązkowe zajęcie w klasie trwa cztery godziny (od 8—10 i od 2—4). W tych dnia okresach młodzież, *ze szczególnem, właściwem owej epoce, uwzględnieniem zasady koncentracyi pojęć różnorodnych*, kształci umysł i serce na lekcyach „wymowy“ (łacińskiej i polskiej), logiki, matematyki, fizyki, etyki wreszcie — w połączeniu z historyą, geografią i prawem. Późniejsza pora (od 4-ej) przeznacza się na naukę języków obcych: niemieckiego, francuskiego i cerkiewno-słowiańskiego (w szkołach bazyliańskich). W dni rekreacyjne (wtorek i czwartek) wychowańcy spędzają czas popołudniowy na wolnem powietrzu, mustrując się lub grając w piłkę („bez wymówki niepogody — chybaby prefektowi inaczej się zdało...“). Na kształcenie sił fizycznych szczególną zwrócono uwagę:

*) O bezżeństwie nigdzie niema wzmianki, ale przedstawia ono, jak się zdaje, *conditio sine qua non* — może dlatego, iż nauczycielami w owej dobie byli przeważnie ex-mnisi.

---

dam na to: Zmień trakt. A on znowu: Nie mogę. Po niejakiem czasie spotykamy się... Jeszcze mię North Fork nie pochłonął, mówi. Innym razem w Sacramento: Zmieniłem, jak widzisz, trakt, powiada, a z tem wszystkiem pewien jestem, że mię North Fork pochłonie... Cóż powiesz? Nie upłynęło dwa tygodnie — znaleziono jego zwłoki w potoku! Przeznaczenie! Tak i ze mną. Trakt zmieniłem; nazajutrz patrzę — jest... Mówi, że mąż jej chory leży w Placerville. Przeznaczenie, Tomy, przeznaczenie! We trzy miesiące potem biedak zażył zbyt silną dozę morfiny przeciw delirium tremens... i zmarł... Ludzie mówili... Hej! co tam... Przeznaczenie, Tomy, przeznaczenie! W rok niespełna pobraliśmy się...

— Trzy miesiące żyliśmy ze sobą—kończył z wielkim wysiłkiem — trzy miesiące! dla szczęśliwych jedno czasu mgnienie! Różnie ze mną bywało w życiu—wiele doznałem; lecz w tych trzech miesiącach bywały dnie, mówię ci, dłuższe od całego mego życia, dnie, w których pytałem siebie: kto kogo—ona mnie, czy ja ją zabiję... Ale co tam! Opowiadać ci tego nie będę—młody jesteś, a są rzeczy, o jakich mnie staremu ani się śniło, aż do owej przeklętej chwili.

Siedział naprzeciw okna, blady, z głową obwisłą na piersi, ręce opierając o kolana.

— Gdzież się ona obecnie znajduje — ze współczuciem spytał Islington?

— Nie pytaj mię o nic więcej—odrzekł. Co miałem powiedzieć, powiedziałem.

Powstał, wyprostował się.

— A teraz, czy rozumiesz chłopcze, dlaczego mała przejażdżka nie zaszkodzi mi, owszem—pomoże? Nie chcesz mi towarzyszyć?... Bóg z tobą! Ja odjeżdżam...

— Nie przed śniadaniem wszelako — zadźwięczał we drzwiach srebrny głosik — i Blanche Masterman we własnej zjawiła się postaci. Ojciec nie przebaczyłby mi, gdybym w jego nieobecności nie starała się zatrzymać i ugościć przyjaciela mr. Islingtona. Pan zostać musi, pan zostanie; ślicznie pana o to proszę. A teraz niech mi pan poda ramię—śniadanie na stole.

— Zbałamucił mię mr. Yuba Bill — szczebiotała miss Blanche, stojąc w salonie z Islingtonem, podczas gdy Yuba Bill z fajką w ręce, ciężkim krokiem, przechadzał się na tarasie.— Zbałamucił mię, chociaż dziwaczne czasami stawiał pytania. I tak, naprzykład, dopytywał się, kto z domu matka moja...

— Poczciwy stary!

— I z pana poczciwe dziecko! Pan się nie bardzo na mnie gniewa, że zatrzymałam go wraz z jego przyjacielem? Bądź co bądź, nie puszczę pana do powrotu ojca.

Islington, rozmarzony, uśmiechnął się.

— A teraz — szczebiotała figlarka — pożegnajmy się tu, pod freskami tego salonu.

I wyciągnęła drobną rączkę do młodziana.

— Tam, na słońcu — ciągnęła z dziwnem głosu nagięciem — dziś rano, kiedy miałam oczy zaczerwienione i wyglądałam tak szkaradnie, chciało się panu koniecznie w oczy mi zajrzeć... A teraz...

Wzniósł na nią wzrok rozmarzony: na spuszczonych, długich rzęsach drżała kropla brylantowa...

— Blanche!

Spłonęła. Wyrwałaby mu rękę, gdyby ją był puścił; po chwili — czy i kibić jej nie wpadła w pułapkę..., pewną nie była, a jednak nie straciła przytomności i naśladując gruby głos Yuby Billa, rzekła:

— Więc cię tu nic nie zatrzymuje, nic?.. tego... owego — jakby to powiedzieć?

— Blanche! — zawołał z wymówką Islington.

— Pst! — to nie moja wina, to niczyja wina. Gentlemani, gdy tajemnicze narady odbywają przy otwartych i na werandę wychodzących oknach, nie powinni się dziwić, jeśli na werandzie, z nudnym francuskim romansem w ręku, spoczywające kobiety wolą... ano tak... wolą słuchać, niż czytać.

— Słyszałaś, droga moja!

— Co do słowa: „Aha, Tom, oszalałeś, bądź zdrów! Tegom się spodziewał!“ Oto

„związek bowiem i zjednoczenie najściślejsze duszy z ciałem (jak opiewa XXV rozdział *Ustaw)* gruntuje istotną potrzebę i okazuje równie ścisły związek edukacyi fizycznej z moralną...“ O tej prawdzie, jakby żywcem z dzieł Basedowa (1723—1790) wyjętej, autorowie kodeksu wychowawczego głęboko są przekonani: potrzeba zaprowadzenia jaknajprostszej, żołnierskiej gimnastyki ściśle się w ich umyśle łączy— zarówno z patryotycznemi, jak pedagogicznemi i filantropijnemi wogóle dążnościami... Dbałość o warunki hygieniczne — o zdrowe jadło i ochędóstwo mieszkań — towarzyszy zawsze tej szlachetnej a tak uzasadnionej tendencyi.

Ustawodawcy dalecy są od uznania idej wrodzonych — zdradzają owszem bliską znajomość i sympatyę z Johnem Lockem (*„Za pierwszemi wrażeniami idzie przyzwyczajenie się, wprawa i nałóg, a ten jest po większej części naturą...“*). Żądają oni, iżby kształcenie ducha było poprzedzone odpowiednim rozwojem sił fizycznych. Nie radzą też zbytecznym, nieprzetrawionym balastem obciążać pamięci; uczeń natomiast, który wszystko „bierze na rozum.“ błogie w nich budzi uczucie. W zaleceniach, odnoszących się do nauki elementarnej, widać już zaród dzisiejszej metody poglądowej *) — analiza bierze wyraźnie górę nad syntezą. Pedagog powinien znać (jak pragną *Ustawy)* naturę ludzką i charakter jednostek, opiece jego powierzonych, być dla nich ojcem, starszym bratem, współpracownikiem rodziców, — nie unosić się gniewem, dobry przykład z siebie dawać (bo więcej on znaczy, niż sucha teorya), karać metodycznie a z umiarkowaniem, zaszczepiać w duszy dziecka poczucie prady, honoru i miłości ojczyzny.

W sferę kształcenia polek wgląda Komisya Edukacyjna o tyle tylko, że rozciąga nadzór nad pensyami prywatnemi i zaleca wychowawczyniom sposobić pupilki na wzorowe żony, matki i gospodynie.

*) „W dawaniu nauk—jak najprościejszych (przewodnik) używać ma sposobów, np. ucząc czytać i pisać, każdą literę na tablicy napisze, każdemu wymawiać ją i pisać nakaże; działania arytmetyki na jakich rzeczach, pieniądzach okazywać będzie, rozmiary na ogrodach czynić, prawdy moralne z okoliczności wyprowadzać...“

Ze zbioru przepisów, zamkniętych w kodeksie edukacyjnym, widzimy, iż jego autorowie szli w znacznej mierze drogą, wytkniętą przez Locke'a i encyklopedystów; a przekonani głęboko o wszechmocnej potędze wychowania, dążyli wytrwale do odrodzenia narodu... przez pracę i prawdę. Mylilibyśmy się jednak, uważając ten utwór za jednolity wyraz dążeń postępowych. Jest on, przeciwnie, zlepkiem najrozmaitszych systemów: zapożycza wprawdzie niemało od współczesnych sensualistów i racyonalistów, ale to mu nie przeszkadza nosić na sobie wybitną cechę wyznaniową (każe np. codziennie uczęszczać na mszę, co miesiąc się spowiadać; chociaż religii między przedmiotami szkolnemi nie mieści) *); uderza w strunę demokratyczną, ganiąc „collegia *nobilia*,“ — a pielęgnuje wyłączność szlachecką, przesądy kastowe, służalstwo i pauperyzm (patrz rozdz. IX, 17 i XIX); rozwidnia tory w przyszłość wiodące—dba o jakość nasion, rzucanych w duszę dziecięcia, o ulepszanie metod wychowawczych, a pomimo to, konserwuje starą pleśń wadliwych zwyczajów z epoki jezuickiej („pars romana“ i „pars graeca,“ „emulusy“ — „dekuryony...“). Jedną wszakże, napół-uwydatnioną w tym zbiorku antynomię, względy pedagogiczne z łatwością rozwiążą. Uczniom, pod karą, nie wolno wyjeżdżać na święta Bożego narodzenia i Wielkanocy (XXI, 6), — a piastuni serc dbają przecie o to, żeby dzieci nie gasiły w sobie ciepła uczuć rodzinnych? Jakże tu jedno z drugiem pogodzić? Próżna obawa — odpowiadają ustawodawcy —są przecie „dwumiesięczne wakacye...“ „Doświadczenie przytem uczy, że częste, choć krótkie przerwy postępowi w naukach niezmiernie szkodzą, ciąg i osnowę lekcyi psują, koszta rodziców i prace nauczycielów zawodzą...“ Zdanie to pozostawiamy bez komentarza — mówi ono samo za siebie.

Podobnych myśli niemało znaleść można w rozbieranym pomniku przeszłości. Wytknięta zaś powyżej wahadłowość poglądów, mieszanina pleśni ze zdrowem ziarnem jest nieodzowną wadą, cechującą wszelkie reformy praktyczne. Oportunizm zresztą, jakim grzeszą wydane przed stu laty, *Ustawy Komisyi Edukacyjnej*, łatwo sobie wytłomaczy każdy, kto pomyśli, że przodownicy narodu, apostołowie światła w r. 1783 niepokojeni byli z jednej strony złowróżbnem wspomnieniem strasznych burz, wywołanych niegdyś sprawą dysydencką, z drugiej — świeżemi widmami sejmu (1780), na którym takie „głowy do pozłoty,“ jak Kamieński, Sierakowski, Sokolnicki — miotały obelgi na Andrzeja Zamoyskiego za to, że w kmieciu człowieka ujrzeć się odważył; musieli więc oni obok idej postępowych uwzględniać przesądy, kojarzyć sprzeczności, ogień godzić z wodą; bo bez tego dobre ich pomysły, zamknięte w czarodziejskim kole teoryj, nie przeszłyby nigdy w dziedzinę czynu.

A. G. Bem.

*) Na końcu podanych planów czytamy notatkę: „nauka chrześciańska będzie dawana w każdą niedzielę i święta.“

LITERATURA UKRAIŃSKA.

II.

Jak zaznaczyłem powyżej, w *Radzie* *) przyjęli udział wszyscy wybitniejsi przedstawiciele młodszej generacyi pisarzów ukraińskich. Oprócz Neczuja (Lewickiego), znanego od lat kilkunastu i cieszącego się względami czytelników—nawet w Galicyi, wystąpił nieznany prawie autor, Mirnyj, z pierwszą częścią romansu *Powija*. Talent Mirnego, niewyrobiony jeszcze, wiele bardzo obiecuje na przyszłość. Babenko, Hnat Karyj i Łopuch dali krótkie opowiadania, a znany w belletrystyce rosyjskiej Mordowcew prześliczną fantazyę w prozie, p. t. *Skaży misiaczeńku* Powieść z życia ludu — nie wymęczona sztucznie, ale pełna wdzięku naturalnego i prostoty, bywa nadzwyczaj rzadkim okazem w literaturze narodów, najbardziej posuniętych w umysłowej kulturze. W sztucznej atmosferze naciągniętych tendencyj i cieplarnianych uczuć rosnąć mogą tylko wybujałe badyle chorobliwego natchnienia; ale przesadzone do niej, świeże i skromne kwiatki polne

*) *Rada*. Ukrainskij almonach na 1883 rok. Czastyna persza. Wydannia M. Staryćkoho, Kyiw.

---

wszystko, com słyszała... A teraz żegnam pana, mr. Islington!

I niby jaszczureczka zwinna a łagodna, z objęć mu się wyśliznęła.

Nad Greyportem srebrna tarcza księżyca wypływała ponad ciche fal szmery, ponad gwary zmieszane dźwięków muzyki i głosów ludzkich. Blade światło spłynęło na niekształtne skały, na drzewa, trawniki, piaski nadbrzeżne, a na rozłogach morza zwierciadlane wody mieniły się srebrną, białą pianą. Na tle jasnej, księżycowej nocy odbijał żagiel w przystani i kryształowe kule na łączce śród kwiatów... Zamigotało coś nagle w zębach skurczonej pod murem, opasującym Cliffwood-Lodge, czołgającej się postaci.

Z gęstwiny krzaków zielonych, na blade światło księżyca, wyszła Blanka z Islingtonem. Skurczona przed chwilą mara podniosła się z niemi i stanęła w cieniu w wyczekującej postawie.

Starzec to był o obłąkanym, gorączkowym wzroku; wychudły, odarty, litość budzący, niż trwogę obudzić zdolny, nędzna raczej, niż złowroga postać, chociaż jej nóż wyostrzony w drżącej połyskiwał dłoni.

— Przeklęty Mastermann! — zawył w chwili, gdy go ktoś porwał za gardło, o ziemię cisnął i nóż z rąk wytrącił.

— Nie Masterman, lecz Yuba Bill — chłodno odrzekł pogromca — w porę przyszedłem,

— A to ty! przyjaciel tego łotra... zbója... Mastermana! Puść mię! Chwila odwetu nadeszła wreszcie... Gdzie Mary, moja żona! Widziałem ją tu dopiero, mówię, że widziałem tu! ot tu! Mary! Mary!

Dłoń w dłoni, księżyca promieniem oblani, Blanka z Islingtonem postępowali zwolna po kwiecistej ścieżce.

— Żonę mi oddaj! — zgrzytał zębami, do muru przyciskany starzec. Moja to żona... oddaj mi ją!

Na obojętnie ponurą twarz Billa wystąpiła wściekłość.

— Żonę? mówisz — zasyczał raczej niż wyszeptał, dzikiem wzrokiem wpatrując się w obłąkaną twarz starca, którego nie przestawał przygniatać kolanem do ziemi. Żonę? i pytasz, gdzie ona? Chcesz wiedzieć, gdzie jest małżonka Jack Adamsa, twoja, moja, i wielu innych jeszcze, gdzie dyablica, szatan-kobieta, co jednego z nas przywiodła do szaleństwa, drugiego własną ręką zgładziła z tego świata, a moje życie złamała, zdeptała... Chcesz wiedzieć, gdzie ten potwór, chcesz koniecznie? To ci powiem: w Sacramento, w więzieniu, w okowach, o zabójstwo oskarżona... Słyszysz, stary!

Stary podniósł się nieco, zesztywniał, skamieniał, zaczerpnął ustami powietrza— i runął, jak martwy, u nóg Billa. Teraz Bill skłonił się nad nim z nagle obudzonem współczuciem, czule niemal przemawiając:

— Powstań, stary! Powstań-że, Johnson! Czy mię nie poznajesz? Jestem przecie Yuba Bill—pamiętasz? Przestań, Johnson, otwórz przynajmniej oczy, spójrz tam— to córka twoja, słyszysz, twoja córka i Tom! Pamiętasz Angel, cynobrową grotę i Toma, Toma Islingtona.

Johnson otworzył zamglone oczy.

— Tomy!—przemówił gasnącym głosem, w którym zadrżały najpieszczotliwsze dźwięki. Usiądź tu przy mnie, Tomy—tylko nie tak blisko brzega, chłopcze, nie tak blisko... Słyszysz, jak potok szumi, huczy, pieni się, wzbiera, jak bije u skał podnóża,. wznosi się, pieni, szumi, huczy!... Trzymaj mię, Tomy, na Boga! Nie puszczaj! Zemścić się muszę... serce mu wydrę... rozedrę...

Głowa obwisła mu na piersi. Przez niego tylko dojrzany potok, wypływający ze zmroków tajemniczych, porwał go na swe fale i uniósł na bezbrzeża świetlanych przestrzeni...

Tłom. *Z. W. Kościałkowska.*

KONIEC.

schną i marnieją. One jedynie na dziewiczej niwie piśmiennictwa ludowego, w zdrowem powietrzu stosunków wieśniaczych znajdują przyjazne warunki wzrostu i rozkwitu.

Nazwałem poprzednio piśmiennictwo małoruskie ludowem, nie dlatego tylko, że przemawia wyłącznie prawie do ludu, ale dla tego także, iż chłopa — z jego wierzeniami i pojęciami, z dolą i niedolą, weselem i smutkiem, za przedmiot sobie obrało. *Rada* przynosi nam całą wiązankę powieści z życia ludu, niepodobnych zgoła do tego rodzaju wypracowań w innych literaturach. Bohaterami powieści są chłopi; intryga obraca się jedynie około osi — drobnych, codziennych spraw wioski.

O dobroczynnym wpływie duchownej i świeckiej inteligencyi, o daremnem nawoływaniu do zgody żywiołów, rozdzielonych całą przepaścią wręcz sobie przeciwnych, wrogich nawet dążeń i interesów — rozumie się, nie ma wcale mowy. Wolni od moralizatorskich zachcianek, autorowie ukraińscy traktują chłopa, jako człowieka żywego, nieróżniącego się niczem od uprzywilejowanych braci w surdutach, działającego tylko w innej sferze pojęć i stosunków. Nasi pisarze, nawet realiści, taką swobodę myśli i ruchu pozostawiają jedynie bohaterom z wyższej sfery, a pod nazwą chłopa dają nam zazwyczaj albo manekina, albo karykaturę. Maryonetki te mówią, myślą, działają zgodnie z wolą i zamiarami autora. Rzadko, bardzo rzadko na stronicach powieści spotkać można wiernie odtworzonego, nie podrobionego, nie sfabrykowanego ad hoc włościanina. Nie mało się do tego przyczyniają wyrobione a priori poglądy, których, pomimo szczerej nieraz chęci, autorowie pozbyć się nie mogą. Dla jednych chłop — to „święte bydlę" — dla drugich również bydlę, ale zwyczajne, dla wszystkich zaś wogóle — nie żywy człowiek z krwią i kośćmi, z zaletami i wadami, właściwemi ludziom — ale przedmiot dla doświadczenia, okaz potrzebny do objaśnień własnych teoryj i teoryjek.

Chociaż utwory pisarzów małoruskich przenika szczera, gorąca miłość ludu, nigdy nie wpadają oni w przesadę. Malując przeważnie ciemnemi barwami posępną dolę chłopską, nie pozbawiają jednak swych obrazów tak pożądanej w sztuce — gry światła, nie płaczą udanemi łzami; owszem smutne, tęskliwe motywy swych pieśni — urozmaicają wesołymi tonami. Małorus z natury jest humorystą: obok smętnych dum i dumek, wesołe *żarty* grają nie małą rolę w ludowej twórczości. Ten humor narodowy, kryjący, pod pozorami dobroduszne jowialności, sporą dozę sceptycyzmu i zgryźliwej ironii, przebija się w utworach wszystkich prawie autorów ukraińskich; dosięgnął on wszakże szczytu w arcydziełach Gogola oraz niektórych, mało znanych satyrach i epigramatach Szewczenki.

Ze wszystkich, przytoczonych powieści najwyżej bezzaprzeczenia postawić należy romans Mirnego — *Powija*. Intryga w tym utworze, o ile sądzić można z pierwszej jego części, jest nadzwyczaj prosta. Pyłyp Prytyka, powracając z jarmarku, zmarł w drodze podczas zawiei. Pozostała po nim żona, Pryśka i córka Chrystia walczą ze straszną biedą. Gospodarstwo, pozbawione jedynego robotnika, marnieje, a na domiar złego — bogaty włościanin, Hryćko Suprunenko mści się na nich wszelkiemi sposobami za to, że syn jego, Chwedor, pokochał ubogą sierotę. Przy pomocy stosunków i wpływów, Hryć zdołał nieraz dokuczyć wdowie, ale najsprytniej obmyślany cios — propozycya odebrania bezbronnej gruntu, jako nie przedstawiającej pewności w opłacie podatków, nie udał się przesładowcy. Suprunenko jednak nie daje za wygraną: przyjaciel jego, pijak, mieszczaniu Zahnybida, przedstawia fałszywy kwit na wypożyczoną jakoby zmarłemu Prytyce sumę — i sąd gminny wydaje wyrok, nakazujący albo zapłacić dług, albo go odsłużyć. Chrystia więc idzie z musu na odrobek do Zahnybidy.

Na tem prostem tle rysuje autor prześliczne sceny. Udało mu się szczególniej odtworzyć znakomicie typ Chrysti, młodziutkiej, wesołej dziewczyny, w której sercu śpią jeszcze poważniejsze i głębsze uczucia. Sceny spotkania się z Chwedorem, gdy ten, uniesiony namiętnością, gorącemi słowy wyznaje jej swą miłość, a dziewczynę to bawi i do śmiechu pobudza — jest arcydziełem realnego wdzięku i prostoty. W innym znowu ustępie, gdy Pryśka dowiaduje się o śmierci męża, autor nadzwyczaj prostemi środkami wywołuje potężny, tragiczny niemal efekt. Najgłówniejszą wszakże zaletą powieści jest głęboka analiza psychologiczna charakterów. Młody, poczynający autor zanadto może poświęca uwagi stronie wewnętrznej utworu, który wydaje się miejscami nazbyt rozwlekłym. Są to wszakże wady, nieuniknione prawie w początkach działalności literackiej. Bądź co bądź, w osobie Mirnego przybywa piśmiennictwu ukraińskiemu talent szerszego zakroju, rokujący na przyszłość nie małe nadzieje.

W innym zupełnie rodzaju jest powieść Lewickiego-Neczuja — *Mykoła Dżeria*. Autor uważany jest dotąd za najzdolniejszego z belletrystów ukraińskich; obecna wszakże powieść nie doda mu nowego listka do wieńca chwały. Rzecz dzieje się przed kilkudziesięciu laty. Właściciel Werbiwki, p. Brzozowski, rozgniewany na Mykołę i kilku innych włościan, stawiających bierny opór jego samowoli, postanawia oddać ich „w moskali." Mykoła z towarzyszami ucieka, podpaliwszy gumno dworskie i zaczyna „burłakować." wynajmując się do roboty w cukrowni. Brzozowski odnajduje zbiegów; bohater nasz ucieka znowu, błąka się po stepach noworosyjskich i wreszcie, za radą doświadczonego włóczęgi, zapisuje się do ksiąg ludności jakiegoś miasteczka w Bessarabii. W miasteczku tem byli ludzie, żyjący po 150 lat; szczególną długowiecznością odznaczał się niejaki Iwan Posmitiucha. W istocie dawno już on umarł; nazwisko jego tylko przybierali po kolei, stosownie do potrzeby, rozmaici przybysze. Z podrobionym pasportem wstępuje Mykoła do „arteli" rybackiej; wpada w ręce policyi; ale niebawem ogłoszono ukaz o uwolnieniu włościan od poddaństwa, i bohater powraca do domu. Żona jego tymczasem w Werbiwce umarła. Mykoła pozostał i nadal buntownikiem, broniąc interesów gromady, w walce z nowemi więzami, krępującemi chłopa już po zniesieniu poddaństwa. Lewickij zwraca głównie uwagę na socyologiczną stronę utworu i zewnętrzne akcesorya; psychologia jego za to szwankuje. Powieść pisana była, jak widać, zbyt pośpiesznie. Ciekawym jest bardzo opis obyczajów swobodnej drużyny rybackiej; uwagę czytelnika przykuwa do siebie szczególniej postać córki starego rybaka, Mokryny. Napół dzika, odważna dziewczyna pokochała Mykołę, chociaż stan jego małżeński nie był dla niej tajemnicą. Mykoła jednak nie podziela jej uczucia. Autor nie umiał widocznie tego węzła rozplątać — bez ceremonii więc usunął Mokrynę z powieści — tak, że o jej losie ciekawy czytelnik niczego dowiedzieć się nie może. Obrazki z życia ukraińskiego, naturalnym okraszone humorem (np. scena badania burłaków przez sędziego) są wyborne; ale całość wiele pozostawia do życzenia. Lewickij nie jednokrotnie już dowiódł, że umie pisać lepsze rzeczy.

Dramat Staryćkiego *Ne sudyłoś* pod pewnym względem stanowi epokę w literaturze małoruskiej. Dotychczasowe dzieła dramatyczne były to po prostu dyalogowane opowiadania z życia ludu, z przyczepionemi, nieraz bez żadnej racyi, śpiewkami. Jedynie utwory znanego aktora, Kropiwnickiego (*Hłytaj*, *Daj serciu wolu* itd.) stanowiły wyjątek i pierwszą próbę prawdziwej twórczości scenicznej. Ale dopiero Staryćkiemu udało się stworzyć prawdziwe dzieło dramatyczne. Węzeł intrygi stanowi kolizya dwóch światów: pańskiego i chłopskiego. Rzecz dzieje się około 1860 roku, w epoce największego rozwoju chłopomaństwa. Bohater sztuki, Michał pokochał chłopkę Katrusię; nie może jednak wytrwać w walce z otoczeniem; ulega więc, a dziewczyna umiera. Najlepiej udały się autorowi typy osób, należących do wyższej sfery umysłowej, zwłaszcza cała galerya chłopomanów, szczerych i udanych (jak np. Anna Petrowna, która pod tym pozorem stara się zadowolić swe zachcianki miłosne). Wyborny jest także „cywilizator" Bielochwostow, rozprawiający o jedności kultury, o sprowadzeniu wielu języków sławiańskich do wspólnego (rosyjskiego) mianownika, itp.

Poezya przedstawia się najobficiej. Kilkunastu autorów przysłało swoje utwory; ale pomiędzy niemi trudno dostrzedz wybitniejsze talenty, choć wiersze wogóle są niezłe i gładkie. Wyróżnia się z całej tej drużyny M. Staryćkij, znany już od dość dawna, jako tłomacz Hamleta i autor kilku zbiorków wierszy, gdzie pośród płodów oryginalnej muzy, znajdujemy wiele przekładów z obcych języków, a między innemi i z polskiego. Zauważyć jednak należy pod pewnym względem zmianę na lepsze. Zbytnie uwielbienie przeszłości, szukanie ideałów we wspomnieniach o kozaczyźnie, które przeszły już w niesmaczną manierę, zajmuje bardzo mało miejsca w nowych utworach pieśniarzy ukraińskich. Dola natomiast ludu — bogatej natchnieniu dostarcza osnowy. Ton pieśni przeważnie smutny. Przyczynę tego nastroju sami autorowie wypowiadają szczerze:

> Jak ja lublu bezradisno tebe,
> Narode mij, ubożestwom prybytyj,
> Znemożennyj i temnist'ju spowytyj,
> Szczo wże zabuw i poważat' sebe,
> Potratywszy swoi kołyszni syły...
> Jak ja lublu twoi sumni mohyły,
> Ukraino, jak ja lublu tebe!

Woła Staryćkij w wierszu *Do Ukrainy*, a w innym znowu zwracą się do przyjaciela swego, muzyka Ł—ko (zapewne Łysienko) z prośbą, żeby nie grał mu żałośnej pieśni, bo łzy — to słabość kobieca, ale prosi go o pieśń inną: „i szyroku j wesełu, jak wola" — i wreszcie kończy namiętnym zwrotem:

> Tak ne hraj że sumnoho, ne hraj,
> A zahraj taku piśniu zawziatu,
> Szczob dołynuła j w temnuju chatu
> I tam żowcz zworuszyła — u kraj!

W innej znów dumce — *Nad morzem* poeta zachwyca się widokiem bezmiaru; ale zamiast wysnuć pieśń wesołą i swobodną, zapytuje nagle:

> Czy ne bilsze-b wyjszło more,
> Z ludśkich wyplakanych ślоz?

„Ślozy" i „bidota ratajа" naruszają też spokój i nie pozwalają cieszyć się powabami wiosny innemu młodemu poecie — Hrynczence.

W szczupłym tym zarysie daleki byłem od pretensyi skreślenia wiernego obrazu literatury ukraińskiej; chciałem tylko zwrócić uwagę czytelników na sympatyczne objawy twórczości umysłowej pobratymczego ludu. Winniśmy im doprawdy poświęcić chwilę szczerego zajęcia, a to tem więcej, że znaczny odłam naszego narodu, przed laty jeszcze osiedlony śród odwiecznych siedzib małoruskiego ludu, tylko przez szczere zajęcie się jego dolą, zbratanie z moralnymi i materyalnymi jego interesami znaleść może usprawiedliwienie swego istnienia, utwierdzić się na gruncie, który dziś usuwa się nam z pod nóg. Nie idzie tu o jakieś pojednanie, o zapomnienie

dawnych uraz. do którego nawoływał Szewczenko brata lacha:

Podajże ruku kozakowi
I serce czysteje podaj,
I znowu imenem Chrystowym
Wozobnowym nasz tychyj raj...

ale po prostu o szczerze i otwarte przyznanie każdej narodowości należnych jej praw, nie dla chwilowych kombinacyj, pod wpływem porywów uczucia, lecz w imię słuszności. w imię dobrze zrozumianego własnego interesu:

Podajmo że ruky na wiczne kochannia,
I kryknim na benketi zhody:
My cilomu switu bażajem bratannia:
Porady, oświty j swobody.

Wiatko.

Z GALICYI

Stryj, 21 lipca.

(XVII Zjazd galic. Towarzystwa pedagogicznego).

Tym razem Stryjowi przypadł zaszczyt podejmowania „niosących oświaty kaganiec“ w ciemnej naszej krainie. Zjazd w tym roku był znacznie mniejszy, aniżeli w latach poprzednich, na co, zdaje się, wpłynąć musiał największy brak funduszów, dotkliwie dający się uczuwać nauczycielom galicyjskim. Od wielu już lat domagają się oni podwyższenia płacy, która jest więcej, niż skromną; sfery atoli, w prawach tych decydujące, nie chcą, czy nie mogą przychylić się jeszcze do słusznych żądań.

Zanim przejdę do zdania sprawy z parodniowych obrad Zjazdu, opiszę pokrótce działalność Towarzystwa z roku ubiegłego.

Przedewszystkiem, stosownie do poleceń dwu ostatnich zgromadzeń walnych, wniósł zarząd główny Towarzystwa petycyę do Sejmu krajowego, domagającą się zmiany ustawodawstwa szkolnego. Petycyę tę odesłano do komisyi sejmowej, która też, rozpatrzywszy się w odnośnych wnioskach Wydziału krajowego, opartych na pracach właściwej ankiety, wypracowała projekt zmiany ustaw szkolnych z roku 1873. W projekcie komisyi podnieść należy ważny bezwątpienia dla nauczycieli wniosek o skrócenie lat służby z 40 na 35. Zarząd Towarzystwa wykazał cyframi, że fundusz szkolny przez powiększenie liczby emerytów nie ucierpi tak dalece, żeby z tego powodu nowy ciężar spaść miał na ludność kraju. Wnioski komisyi nie zostały jednak dotychczas ani uchwalone przez Sejm, ani odrzucone: przyszły bowiem zapóźno pod obrady. Dlatego też zarząd główny petycyę wspomnianą wniesie do Sejmu ponownie, w czasie tegorocznej sesyi sejmowej. Inna petycya zarządu domaga się zaliczenia niektórych szkół miejskich do wyższej kategoryi płac, na podstawie nowego spisu ludności. Sprawa ta, nie podjęta jeszcze przez Sejm, załatwioną już została pomyślnie przez ministeryum oświaty. Prócz tego uzyskał zarząd podwyższenie zasiłku dla wyższych szkół żeńskich i przemysłowych, założonych przez Towarzystwo, tudzież wystarał się o subwencyę dla czasopisma *Szkoła.*

W ubiegłym roku założyło Towarzystwo dwie nowe uczelnie przemysłowe: w Drohobyczu —ogólną. w Sokalu zaś — szkołę modelowania i rzeźbiarstwa. W Brzeżanach przytem, jeszcze w jesieni r. b., a w Kołomyi — jeżeli nie w tym, to w przyszłym roku — otwartą zostanie miejska szkoła przemysłowa. Wogóle sprawa zakładania szkół z kierunkiem praktycznym wchodzi z każdym rokiem na pomyślniejsze tory, zwłaszcza, że i literatura dla szkół przemysłowych wzrasta zwolna. Towarzystwo wydało wprawdzie dotyczas trzy dopiero tomiki *Biblioteki dla uczniów szkół przemysłowych*; dalsze poszyty tego cennego a gwałtownie potrzebnego wydawnictwa ukażą się jednak niebawem.

Na wystawę przemyską zarząd przesłał 124 publikacyj swoich naukowych.

Stosownie do uchwały zeszłorocznego Zjazdu, zarząd główny Towarzystwa zawiązał stosunki z kołami pedagogicznemi w Czechach, zarówno z pobudek naukowych, jako i narodowych. Zarząd przedewszystkiem utrzymuje korespondencyę z centralnym związkiem czeskich stowarzyszeń pedagogicznych (*Ustrzedni spolek jednot učitelskich w Czechach*), z którym wymieniono już wszystkie publikacye. Na walny Zjazd delegatów pojedynczych oddziałów *spolkowych*, odbyty zeszłego roku w Pilznie, zarząd przesłał serdeczny telegram, który przyjęto z uniesieniem i odpowiedziano nań również serdecznie. Piękny objaw wzajemności pobratymczej okazał bank czeski *Slavia*, przeznaczając na cele Towarzystwa znaczniejszą kwotę.

W ubiegłym roku przeprowadziło Towarzystwo w swej organizacyi wewnętrznej dosyć ważną zmianę. Pedagogowie szkół wyższych i średnich, mianowicie lwowskich, którzy założyli niedawno „Kółko nauczycieli szkół wyższych,“ postanowili, zrywając z dotychczasowem usuwaniem się od prac w Towarzystwie, przystąpić do niego gromadnie. Zarząd główny utworzył wskutek tego osobną sekcyę nauczycieli szkół wyższych.

Inną ważną sprawą jest zawiązanie oddziału Towarzystwa na Szląsku, z siedzibą w Cieszynie. Do oddziału tego przystąpiło już członków kilkudziesięciu; na zjeździe w Cieszynie tymczasowy zarząd został wybrany; ponieważ jednak nieprzychylny polakom starosta cieszyński nie zatwierdził statutu, oddział szląski nie może jeszcze działać, dopóki ministeryum spraw wewnętrznych nie odpowie na rekurs Towarzystwa.

W roku ubiegłym admistracya wydawnictw Towarzystwa, na której czele stał dr. Benoni, rozwinęła wogóle żywą działalność, czego wymownym dowodem — 50,000 egzemplarzy drukowanych książek.

Liczba członków Towarzystwa (złożonego z 41 oddziałów) doszła obecnie cyfry 2,679. Kółek nauczycielskich istnieje 85. Fundusz obrotowy wynosi 7,679 złr., ogólny zaś majątek — 28,329 złr.

Doniosła sprawa kolonij wakacyjnych dla dzieci. uchwalona w zasadzie — jeszcze r. 1880 na zjeździe w Drohobyczu, teraz dopiero poczyna wchodzić w życie, dzięki czarnohorskiemu oddziałowi Towarzystwa tatrzańskiego, który górską gospodę swoją w Żabiu ofiarował, całkiem bezinterownie, na gościnne podczas feryj szkolnych pomieszczenie słabowitych dzieci lwowskich.

O innych drobniejszych pracach Towarzystwa dla braku miejsca nie wspominam. Przechodzę do tegorocznego zjazdu. Jak już powiedziałem na wstępie, był on bez porównania mniej liczny od poprzednich. Zjechało się dwustu kilkudziesięciu zaledwie uczestników. Posiedzenie zagaił burmistrz miasta Stryja, dr. Fruchtmann, podnosząc w imieniu całego społeczeństwa zasługi kółka nauczycielskiego około podniesienia oświaty w kraju. Następnie, w imieniu Rady powiatowej, przemówił dr. Popiel, poczem zabrał głos prezes stowarzyszenia, p. Sawczyński. Przeciwny żalom na „hiperprodukcyę inteligencyi,“ mówca zaznacza: „Praca nad oświatą nie może być ukończoną, bo zawsze pozostanie jeszcze coś do zrobienia lub poprawienia. Kto nie idzie naprzód, ten się cofa. W oświacie cofać się nie można, ale sumiennie wypełniać należy obowiązki. My się już nie cofniemy.“

Sprawozdanie zarządu przyjęto jednogłośnie, wzywając równocześnie jego członków do energicznego postępowania z opieszałymi oddziałami. Następnie prof. Solecki i dr. Gorstman zdawali sprawę z wniosków, dotyczących zmiany statutu. O pierwszym, odnoszącym się do utworzenia osobnej sekcyi nauczycieli szkół wyższych, jużeśmy mówili — drugi, postawiony przez p. Żółtowskiego, żądał, aby walne zgromadzenia Towarzystwa odbywały się co trzy lata, co rok zaś jedynie zjazdy delegatów — z zakresem działania mniej więcej takim samym, jaki mają obecne zgromadzenia. Wnioskodawca, poparty przez oddział krakowski, był tego zdania, że coroczne zjazdy są uciążliwe, zarówno dla nauczycieli, jak i miast, które ich podejmują, że na zjazdach takich niepodobna spokojnie i wyczerpująco traktować zakreślonych programem kwestyj. że wreszcie materyał do obrad żadną miarą nie może być w ciągu jednego roku dostatecznie obrobiony.

Zarząd główny wnioskowi powyższemu sprzeciwił się stanowczo. Co do rzekomej uciążliwości, jaką się wyrządza podejmującym nauczycieli miastom, to przeczy temu choćby ta tylko okoliczność, że w tym roku dwa równocześnie miasta zapraszają uczestników zjazdu na rok przyszły (Tarnów i Przemyśl — wybrano pierwszy). Zarzut braku spokoju w dyskusyi odnosić się może jedynie do zjazdu krakowskiego, na który wyjątkowo przybyło 1,200 osób, zresztą rozprawy nad kwestyami ściśle naukowemi nie należą do zjazdów lecz do sekcyj. Zarząd wyraża wreszcie obawę, że gdyby zjazdy nie odbywały się corocznie, Towarzystwo wpadłoby w martwotę i nie budziłoby pewno takiego zajęcia w szerszych kołach, jak dzisiaj. Rozgłos swój i mir, jakim się Towarzystwo cieszy, nietylko w kraju, ale i zagranicą, zawdzięczyć należy głównie corocznym zjazdom. Po dłuższej dyskusyi wniosek p. Ż. i oddziału krakowskiego upadł.

Następnie p. Baranowski, redaktor *Szkoły* przedstawił wniosek zamianowania Matejki honorowym członkiem Towarzystwa. Jednomyślną zgodę stwierdził grad niekończonych oklasków i okrzyków.

Upadł natomiast wniosek hr. Anastazyi Dzieduszyckiej, żądający zmiany statutu, na zasadzie której połowa tylko składek wpływaćby mogła do zarządu głównego, a z innych dochodów, część ósma, reszta zaś zostawałaby w kasach oddziałowych, nadzwyczaj słabo, w stosunku do głównej, uposażonych i niezdolnych tem samem czynić zadość wymaganiom członków. I ten wniosek poparł oddział krakowski. Zwolennicy jego zarzecali, że liczba członków zwiększy się w dwójnasób, jeżeli tylko oddziały rozporządzać będą znaczniejszemi sumami. Pomimo to jednak, iż wniosek hr. Dzieduszyckiej miał wiele innych jeszcze stron dodatnich za sobą—przeważna liczba członków zgromadzenia, stosując się do życzeń największej w całej sprawie interesowanego zarządu, przeszła nad nim do porządku dziennego.

Referował następnie p. Baranowski sprawę egzaminów wstępnych do szkół średnich. Rzecz idzie o to przedewszystkiem, że egzamina te ubliżają w wysokim stopniu nauczycielom szkół ludowych; jednostki bowiem, uznane przez nich za zdolne do słuchania wykładów w szkołach średnich, ulegać muszą powtórnemu egzaminowi, którego rezultat —jak utrzymują przewodnicy elementarni — pokrzywdza niejednokrotnie samych wychowańców. Znieść tych egzaminów — mówił p. B. — niemożna, bo przecież sam p. minister utyskuje na przepełnienie szkół średnich; więc z pewnością nie usunie tego utrudnienia, jakie istnieje obecnie przy przejściu do gimnazyum. Zgromadzenie też przyjęło wniosek zarządu, dotyczący danej kwestyi, a właściwie przeszło i nad nią do porządku dziennego.

Dr. Gerstman referował sprawę kolonij wakacyjnych. Przeznaczono 100 złr. na rok bieżący w celu urzadzenia osady gościnnej w Żabiu. Sprawa ta. popierana gorąco przez *Kuryera Lwowskiego*, wywołała szersze zajęcie się nią w kraju; można też przypuszczać, że niezadługo zacna myśl przybierze kształty rzeczywistości i rozpowszechni się na większe rozmiary.

Przyjęto jeszcze wniosek zakładania burs dla synów nauczycieli wiejskich. Resztę projektów oddano do rozpatrzenia zarządowi głównemu, poczem przystąpiono do elekcyi. Wybrani: prezesem — jednomyślnie p. Zygm. Sawczyński, wiceprezesem, po raz trzynasty — jednomyślnie — p. Teofil Gerstman.

Obrady zjazdu trwały dni trzy. Drugiego dnia urządzono popołudniu wycieczkę, trzeciego — wspólną ucztę pożegnalną. Przyszły zjazd w Tarnowie, a następny, r. 1885 — w Przemyślu.

Rewera.

Prawa fabryczne

i położenie robotników w zachodniej Europie.

IV.

W Szwajcaryi francuskiej, a następnie i niemieckiej. liczne fachowe powstały związki, pod wpływem „Międzynarodówki.“ Na kongresie robotniczym w Olten, 1873 r.. uradzono zawiązanie „Arbeiterbundu“ (związku robotników), który na generalnem zebraniu w Lucernie 1878 r. połączył się formalnie ze związkiem „Grütli“ (Grütliverein).

W r. 1874 związek robotniczy podał petycyę Radzie związkowej, w kwestyi ustanowienia prawa fabrycznego. W kilka dni po jej podaniu rozpoczęły się obrady.

Kwestya skrócenia dnia roboczego podniesiona już była 1864 r. w kantonie Glarus. Tenże kanton ustanowił wtedy 12 godzin, jako maximum dziennej pracy dla dorosłych robotników, a w r. 1872 — czas ten zredukował do 11 godzin. W 1869 r. kanton miejski Bazylea zaprowadził 12-godzinny dzień roboczy. Nareszcie 23 marca 1877 r. wydane zostało związkowe prawo fabryczne, według którego dzień roboczy nie ma trwać dłużej nad 11 godzin. Prawo to — przeważnie sanitarne obejmuje przepisy. Przytaczam tu główniejsze artykuły:

Art. 2. Lokale. maszyny i narzędzia każdej fabryki tak urządzić potrzeba. iżby zdrowie i życie jednostek było w granicach możliwości zabezpieczone. Izby robocze podczas pracy mają być dostatecznie oświetlane, powietrze — wolne od pyłu i wentylacya — odpowiednia do liczby robotników i jakości wyrobów. Dla zabezpieczenia zdrowia i zapobieżenia kalectwom, zastosować należy wszelkie znane w technice sposoby i środki ochronne.

Art. 7. Obowiązkiem jest właściciela zakładu ogłosić odpowiedni okólnik, dotyczący porządku pracy, policyi fabrycznej, warunków przyjmowania i wydalania, jakotéż wypłaty należności. Jeśli ustawa przepisuje kary pieniężne, to w żadnym razie nie powinny one przewyższać połowy zarobku. Wytrącanie pewnych sum, za niedostateczną pracę lub uszkodzenie materyału, do zakresu „kar“ nie należy. Właściciele fabryk dbać winni o dobre obyczaje. przyzwoite zachowanie się robotników i robotnic w zakładzie.

Art. 10. Właściciele fabryk obowiązani są opłacać robotników—najpóźniej co dwa tygodnie, gotówką, w monecie, prawem określonej. Zarobki nie mogą być zatrzymywane dla żadnych celów specyalnych bez poprzedniego porozumienia się z robotnikami.

Art. 11. Czas pracy dziennej nie powinien przewyższać jedenastu, a w przededniu świąt i niedziel — dziesięciu godzin; trwać zaś ma od 6-ej rano (w czerwcu, lipcu i sierpniu — od 5) do 8-ej wieczorem. Dla zajęć szkodliwych, lub z jakiegobądź powodu zagrażających zdrowiu. wobec 11-godzinnego okresu pracy dziennej, Rada związkowa redukować może czas ten, stosownie do potrzeby, dopóki usunięcie niebezpieczeństwa dowiedzionem nie zostanie.

Wyjątkowe lub chwilowe przedłużenie czasu roboczego, żądane ze strony fabryk, udzielane być może przez okręgową lub, gdy takowej nie ma, przez miejscową władzę, a nawet przez zarząd kantonalny, o ile żądanie takie nie przewyższa dwóch tygodni. Pora obiadowa, w połowie dnia roboczego, trwać ma przynajmniej godzinę. Robotnicy. którym obiad przynoszą, mieć powinni stosowne, ocieplane w zimie, izby do swego rozporządzenia poza pracowniami.

Art. 13. Zajęcie nocne (między godziną 8 w wieczór a 6 lub 5 rano) wyjątkowo jedynie jest dozwalane, i za zgodą robotników tylko wykonywane być może. W wypadkach, gdy chodzi nie o śpieszną jakąś naprawę w czasie nocnym. udzielone być może pozwolenie urzędowe; ale sankcya taka. w razie trwania roboty dłużej nad dwa tygodnie. od władzy kantonalnej jest już zależną. W gałęziach przemysłu, które z natury swojej ciągłego wymagają zajęcia, regularna robota nocna może mieć miejsce... Praca wszakże pojedynczo wziętej osoby nie powinna pod żadnym warunkiem trwać dłużej nad 11 godzin w ciągu doby.

Art. 14. Praca niedzielna prócz szczególnych wypadków jest wzbronioną, z wyjątkiem zakładów, gdzie sama natura produkcyi ciągłego wymaga zajęcia; lecz i tu pozwolenie Rady związkowej fakt poprzedzać winno. W zakladach jednak tego rodzaju każdą naprzemian drugą niedzielę— robotnikowi do swobodnego rozporządzenia zostawiać należy. Prawodawstwo kantonalne nietylko w niedzielę, ale w inne dnie świąteczne wstrzymać może robotę fabryczną; dni takich wszakże nie powinno być więcej do roku nad osiem.

Art. 15. Kobiety pod żadnym pozorem nie powinny być używane do niedzielnej i nocnej pracy. Jeżeli nadto mają domowe jakieś zajęcie, uwalniać je należy od roboty na pół godziny przed południowym odpoczynkiem.

Kobieta brzemienna — przed i po porodzie (w ciągu okresu 8-tygodniowego). nie powinna być przyjmowana do fabryki; wstęp do pracowni otworzyć jej można wtedy dopiero, gdy od porodu upłynęło nie mniej nad sześć tygodni*). W pewnych gałęziach przemysłu kobiety brzemienne między pracownicami znajdować się wcale nie mogą.

Kobiety nie powinny być używane do czyszczenia w ruchu będących motorów. transmisyi i grożących niebezpieczeństwem maszyn.

Art. 16. Dzieci, liczące mniej. niż lat 14, nie mogą być używane do roboty fabrycznej. Dla pacholąt 15- i 16-letnich nauka szkolna. wraz z wykładem religii i pracą fabryczną, nie ma trwać dłużej nad 11 godzin dziennie. Zastrzega się nadto. że zajęcie w fabryce nie powinno być przedłużane ze szkodą nauki. Praca niedzielna i nocna wzbroniona jest młodzieży, która nie ukończyła jeszcze lat 18. Przy zajęciach, niecierpiących przerwy, użytymi być mogą wyjątkowo — za pośrednictwem Rady związkowej—chłopcy od 14 go do 18-go r. życia. Gałęzie przemysłu, w których udziału robotniczego dzieciom przyjmować nie dozwolono, oznaczone są przez Radę. Właściciel zakładu nie może się tłómaczyć niewiadomością wieku. lub nieokreślonego dla małoletnich robotników czasu na naukę.

*) W Niemczech tylko trzy tygodnie.

Rada zaznacza w sprawozdaniu ze swych czynności za rok 1882, iż „prawo fabryczne nie znalazło jeszcze zastosowania w kołach przemysłowych o tyle, o ile możnaby było sobie tego życzyć:“ Główną trudność stanowi przepis, dotyczący 11 godzin pracy dziennej. Robotnicy starają się wszelkiemi możliwemi sposobami prawo to ominąć. W kantonie np. Glarus, gminie Flawyhl z 23 przedsiębiorstw przemysłowych — dwa tylko w 1881 r. czyniły zadość danemu wymaganiu *). W różnych zresztą kantonach przepis ten rozmaicie bywał zastosowywany; same nawet władze kantonalne niewielką dotąd zwracały uwagę na to, w jaki sposób fabrykanci z pod niego się wyłamują. Szwajcarya, licząca 2642 fabryk, zajmujących przeszło 134,000 robotników (70.000 mężczyzn i 64,000 kobiet), trzech zaledwo posiada inspektorów fabrycznych; każdy więc zakład raz tylko na półtora roku lub co dwa lata może być odwiedzany. Dla zwiększenia dozoru nad ruchem przemysłowym Rada postanowiła, iżby odtąd w jednym roku inspektorowie, a w drugim, naprzemian. kantony same zdawały sprawę ze stanu fabryk. Rada poleciła nadto inspektorom uzupełnić statystykę, co do ilości zakładów, robotników, ich wieku itd., co przed niedawnym czasem już uskuteczniono.

Urządzenie wielu fabryk szwajcarskich nie odpowiada ustawom. Sprawozdanie za rok 1879 głosi, iż w fabrykach jedwabniczych „podłoga pokryta jest warstwą gnijącego oleju i śmiecia, a wsiąknięte w nią, rozkładające się tłuszcze zarażają powietrze.“ „Są lokale, gdzie nie można otworzyć okien podwójnych, i dlatego, pomimo nagromadzonej ciżby robotników, nie były one przewietrzane ani razu w ciągu całej zimy“ (str. 2). W warsztatach zegarmistrzowskich uderza brak czystości, złe oświetlenie i opał. pary olejne i metalowe, dym tytuniowy i niemożliwość przewietrzania, gdy często jeden robotnik od świtu, inny do północy pracując, nie zezwala na przeciąg powietrza. Życzylibyśmy tym *wolnym* robotnikom zegarmistrzowstwa mieć lokale *niewolników* bawełnianego przemysłu“ (str. 15 i 16). Wentylacya słabą jest stroną wielu zakładów. Rozmaite gazy, wywiązujące się przy fabrykacyach chemicznych, pył bawełny i żelaza itp. przepełniają powietrze, jak gdyby nie było można usunąć szkodliwych tych substancyj. „W Toggenburgu często spotkać można lokale, od których odstręcza woń zgnilizny z napół spróchniałą podłogą i ścianami, pokrytemi pleśnią. Jeżeli dodamy jeszcze do tego zwyczaj upiększania wilgotnych izb kwiatami w doniczkach i dym tytuniowy, to zgodzimy się, że pomieszczenia takie bardzo zgubnie oddziaływać muszą na zdrowie robotników“ (1881. str. 3). Przeludnienie lokali napotykamy szczególniej w fabrykach tytuniu i cygar. W jednym z takich zakładów znalazła inspekcya zaledwie 4 do 5 metrów sześciennych powietrza na jednego robotnika, a pomimo to nie postarano się o urządzenie jakiejkolwiek wentylacyi (1880, str. 30).

Porządnie nawet utrzymane lokale w niektórych gałęziach przemysłu nie mogą usunąć pewnych wpływów szkodliwych. jakich robotnik staje się ofiarą. Uwidocznia się to nadewszystko w hafciarniach, gdzie 48-letni pracownik wygląda już na starca. Haftowanie jest zajęciem nadzwyczaj nużącem — wycieńcza i wywołuje rozwój chorób piersiowych. Są to po większej części skutki zbyt mozolnej aplikacyi w wieku młodocianym. Według sprawo-

*) *Arbeiterstimme* z 1881 r.

zdania Rady wychowawczej w St. Gallen z 1880 r., młode dziewczęta rujnują się pracą nocną, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Nadmierne forsowanie nóg wywołuje u kobiet choroby organów płciowych i bladnicę. Cierpienia piersiowe stanowią 24% wszystkich chorób, jakim podlegają hafciarze w St. Gallen *).

Stosunek nieszczęśliwych wypadków do ilości robotników, w różnych kantonach i okolicach, jakoteż oddzielnych gałęziach przemysłu—z każdym rokiem bardziej jest zadziwiający. W niektórych miejscowościach wynosi on 6 do 7%. Nie wszędzie zresztą możliwem jest dokładne obliczenie tego stosunku; niektórzy bowiem fabrykanci, aby się uwolnić od odpowiedzialności, zamilczają o niektórych „nieważnych“ wypadkach, zbywając poszkodowanego minimalnem wynagrodzeniem, lub też odprawiając z niczem (1881 r., s. 4).

W trzecim, najbardziej przemysłowym okręgu fabrycznym, liczącym do 50,000 robotników, ilość kalectw wynosiła w r. 1880 — 50, z których 7 było śmiertelnych (na 1,000 — 1,034); mniej zatem, niż w Anglii i Prusach. W pierwszym okręgu fabrycznym na 1,000 robotników liczono w 1880 r. 2,58 kalectw i 0,16 wypadków śmierci (1880 r., s. 12).

Ta stosunkowo niewielka ilość nieszczęśliwych wypadków fabrycznych na gruncie szwajcarskim, w porównaniu z liczbą klęsk, jakich gdzieindziej doświadczono, zmniejszy się jeszcze zapewne pod wpływem prawa związkowego z d. 25 czerwca 1881 r., określającego bliżej odpowiedzialność pracodawcy. Według pierwszego artykułu tej ustawy, „prowadzący fabrykę, na mocy przepisów z d. 23 marca 1877 r., odpowiada za śmierć robotnika lub szkodę, poniesioną na zdrowiu, o ile on sam lub jego zastępca, przedstawiciel, kierownik, dozorca przyczynił się do nieszczęścia przez zaniedbanie obowiązków służbowych. Przedsiębiorca pociągany bywa do odpowiedzialności i wtedy (art. 2), gdy bez podobnego przewinienia, w obrębie jego fabryki zdarzy się kalectwo lub śmierć jednego z robotników, jeżeli nie dowiedzie, iż wypadek dany był następstwem jużto przemocy, zbrodni, lub wogóle przyczynienia się niewymienionej w art. 1 — trzeciej osoby, już to własnej winy poszkodowanego.“

Nieufność pojedynczych kantonów dla wszelkich praw, uchwalonych przez Radę związkową i towarzyszący temu ustrojowi opór, a ostatecznie obawa utracenia odrębności państwowej, z jakiej każdy kanton chce korzystać, ważną stanowią przeszkodę do zaprowadzenia pożytecznych reform, wspólnych całej Szwajcaryi. W grudniu np. 1879 r. wydano w interesie robotników prawo powszechne, obowiązujące od 1 stycznia 1881 r.; zabraniało ono używania do fabryki zapałek—żółtego fosforu, szkodliwie bardzo działającego na organizm, a szczególniej na dolną szczękę. Agitacya przeciw nowym zapałkom (w rodzaju szwedzkich) wzmogła się silnie: kantony nie chciały uznać za powszechne tego „narzuconego“ im prawa, skutkiem czego w czerwcu 1882 r. zostało ono odwołane. Wypadków otrucia fosforem od 1881 r. nie spotykamy; dziś jednak znów je notują w sprawozdaniach. Według Hirt'a**) 11 do 12% robotników, pracujących w tej gałęzi przemysłu, ulega chorobom kości.

Po zredukowaniu dnia roboczego do 11 godzin okazało się, iż w wielu fabrykach pracownicy w ciągu tego okresu wykonywali nie mniej, a niekiedy nawet i więcej, niż poprzednio, w czasie dłuższym. W Glarus np. pewna fabryka tkanin wyrabiała w r. 187½, śród okresu dwunastogodzinnego — 153,178, a w. 187²/₄ — 302,509 funtów. W jednej z większych fabryk tego rodzaju (w kantonie zuryckim), po zaprowadzeniu danej ulgi, wyrabia się tyle produktu, co i poprzednio. To samo widzimy przy kręceniu nici. Po zredukowaniu dnia roboczego do 10 godzin, robotnicy zarabiali tyle, co dawniej, podczas 11 godzinnego zajęcia (1879 r. s. 12). W pewnej fabryce płótna wyrabiano 1876 i 1877 r., w ciągu 12 godzin — 7788,26; podczas gdy 1879 i 1880 r., przy tejże ilości krosien, a skróconym terminie pracy dziennej, produkowano towaru 8298.24 metrów kwadr. (1881 r. str. 16). W pewnej garbarni skrócono dzień roboczy z 11 godzin do 10; gdyż okazało się, iż warunek ten nie wpływa na zmniejszenie osiąganego przez pracujących (płatnych od sztuki) zarobku, a znacznie podnosi ich pilność. Przy fabrykacyi innych wyrobów (np. tytuniu, obuwia itd.) podobne przedstawiają się rezultaty (1881 r. str. 43).

W niektórych natomiast zakładach pracodawcy starają się często przedłużać dzień roboczy—nawet bez uzyskania na to sankcyi ze strony odpowiedniej władzy. Zdarza się, iż robotnicy pracować muszą w zimowej porze od godziny 3 rano do 11 wieczór — bez pozwolenia, lecz z wiedzą władzy gminnej. Wiele fabryk wyprasza sobie częstokroć zgodę u zwierzchności nadzorczej na przedłużenie roboty, nocną pracę, na czas rozmaity — niekiedy nawet nieograniczony. (1881 r. str. 38).

Płaca dochodzi w niektórych okolicach do minimalnej cyfry — szczególniej w dziale hafciarskim. Ze wzrostem tej gałęzi przemysłu zmalała stopa wynagradzania robotników — dzięki współzawodnictwu, zwiększonemu przez pomnażanie się, niepodlegających prawu, maszyn domowych poza fabrykami. Współzawodnictwo to, prócz ujemnego wpływu na wysokość płacy, spowodowało przedłużanie normalnego dnia roboczego i zwiększyło popyt na pracę dzieci. Średni hafciarz zarabia 1 fr. i 70 do 80 cent. na dobę, t. j. tyle, ile kosztuje skromne utrzymanie dzienne z mieszkaniem dla jednego robotnika. W innych miejscowościach przeciętny zarobek hafciarza dochodzi do 2 fr. 50 cent., lub 3 f. 50 cent. Nawłócznica otrzymuje zazwyczaj 2 fr., często — 1 fr. 50 cent., niekiedy 1 fr. 20 cent. (1881 r. s. 12). W jednej połowie kantonu Appenzel —2,05 hafciarek otrzymywało w 1880 r. przeciętnie po 60 cent. dziennie*).

W pewnych przędzalniach, jak np. w Tössthal i niektórych w Zurychu, po unormowaniu 11-godzinnego dnia roboczego — zmniejszono płacę, pomimo, iż ilość produkcyi wyrabianej tę samą przedstawia wartość, co i dawniej, a w wielu razach większą nawet. We wszystkich mianowicie przędzalniach w Tössthal zniżono płacę roboczą z 18 na 17 i 16 cent. *od godziny*; w Zurychu zaś pozostawiono dawną, wskutek czego zarobek dzienny zmniejszył się o $^1/_{12}$ (1881 r. s. 14).

Przy największej pilności i zaprowadzeniu maszyn, nieustępujących wogóle angielskim, szwajcarski przędziarz zarabia do 25 fr. tygodniowo, gdy angielski otrzymuje w ciągu tegoż czasu 35 franków. Różnica polega na tem, że w Szwajcaryi dwa razy tyle potrzeba robotników, co w Anglii dla wykonania jednakiej wartości pracy. Angielska np. przędzalnia bawełny, posiadająca 25,000 wrzecion najnowszej konstrukcyi, zatrudnia 75 osób, czyli 3 na 1,000 wrzecion. W Szwajcaryi ta sama robota wymaga przeciętnie dwa razy większej ilości jednostek pracujących (6 na 1,000). Przyczyny tego szukać należy częścią we wzorowym ustroju i regularnym a szybkim biegu maszyn angielskich, częścią w większem uzdolnieniu i sile angielskiego robotnika. Zajęty ciągle jednakową pracą, dojść on może do pewnej dzielności w swym fachu, a otrzymując lepsze wynagrodzenie, odżywia się lepiej. Szwajcarski zaś robotnik do rozmaitej zaciąga się pracy: dziś w fabryce, jutro w polu itd.; karmi się też stosownie do zarobku, nieodpowiednio jednak do potrzeb organizmu.

Wypłata zarobku uskutecznia się w rozmaity sposób. Właściciel fabryki bywa nieraz posiadaczem magazynu z rozmaitemi towarami, i niemi on często płaci należność robotnikowi. Dług pracującego znaczniejszy jest zwykle w takich warunkach niż zarobek. Obrachunek niekiedy po kilku dopiero następuje latach. (1779 r. s. 9). Termin wypłaty bardzo bywa nieregularny w wielu zakładach: dwutygodniowy, miesięczny, półroczny, a nawet roczny (!).

Kary pieniężne dosięgają czasem olbrzymiej cyfry; zsumowane z wielu dni, wpływają do kasy chorych; w pewnych razach przechodzą na rzecz fabrykanta, lub zostają użyte, jako premium czyli zachęta do większej pracy produkcyjnej. (1881 r. str. 11).

Nędza odbywającej połóg robotnicy smutny widok przedstawia. Pozbawiona zarobku na kilka tygodni, opuszczona często, bez żadnej znikąd pomocy, zostawia swe dziecko w izdebce, lub znajomej powierza kobiecie, a sama biegnie do fabryki, pomimo zakazu prawa. Znużona całodzienną pracą, wraca do domu, aby przy lichym posiłku przytulić niemowlę do zapylonej swej piersi.

Dotąd nie urządzono jeszcze kas pomocy pieniężnej dla kobiet ciężarnych; gdzieniegdzie tylko, dzięki filantropii fabrykanta lub jego żony, istnieją takie instytucye a w ich braku ociera łzę dobroczynna ulga jednorazowego wsparcia ze strony przemysłowca.

Praca dzieci pełnoletnich, pomimo zakazu, nie została dotąd usunięta. Coroczne napomnienia ze strony inspektorów wcale nie skutkują. Przy rewizyi zakładów przedsiębiorcy uciekać każą pacholętom, albo też zręcznie je ukrywają. Dzieci zresztą bardzo rzadko figurują w spisie robotników (1879 r. str. 47).

(D. n.)

WYCIECZKA DO ALZACYI.

III.

Mülhuza. — Dzielnica robotnicza. — Dzieje utworzenia się „spółki dzielnic robotniczych.“—Prawidła skupu.—Opis czworaka typowego.

Mülhuza, miasto zajmujące pomiędzy przemysłowemi jedno z miejsc pierwszorzędnych w Europie, ma około 60,000 ludności i składa się z trzech głównych części: nowego miasta, o obszernych gmachach i szerokich ulicach; starego, przeciętego krzywemi a gęstemi zaułkami; z przedmieścia nakoniec robotniczego, które na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych, prostemi, jak struna, ulicami, splecionemi ze sobą pod kątem prostym, rozciąga się od północo-zachodu, przypierając jednym bokiem do starego miasta, a drugim opasując ogromne zakłady fabryczne Dreyfusów, Köchlinów i innych potęg przemysłu alzackiego. Prócz tego, na wschodnich przedmieściach, u stóp malowniczych wzgórków, pokrytych drzewami, rozsiadły się piękne wille i pałacyki potentatów bawełnianych, żelaznych i maszynowych. Miasto przerznięte jest mnóstwem kanałów i kanalików, jawnych lub pod brukiem ukrytych, wypływających i wpływających do kanału, łączącego Rodan z Renem.

*) *Deutsche Vierteljahrschrift für öffentliche Gesundheitspflege.* Bd. XIV. 1882. Heft 2. Braunschweig. S. 43.

**) Hirt. *Die Krankheiten der Arbeiter.* Leipzig. 1878. II. S. 121.

*) *Tagwacht*, 1880. N. 81.

Mijamy nie bardzo zajmujące nowe i stare miasto i wysiadamy z tramwaju na początku ulicy Sztrasburskiej, oddzielającej dzielnicę robotników od starego miasta. Oczom naszym przedstawia się widok, przypominający trochę przedmieście Horodnicę w Grodnie, stworzone przeszło wiek temu dla robotników i rzemieślników przez podskarbiego Tyzenhauza. Tylko tu, w Mülhuzie, ulic obstawionych domkami robotniczemi jest kilkadziesiąt, a domków przeszło tysiąc. Wyglądają one czysto, nawet wytwornie; otoczone są i przedzielone ze wszech stron ogródkami, oplecione winem i kapryfoliami, które osłaniają ściany i płotki graniczne. Domy są przeważnie parterowe, dosyć duże; są to po większej części, mówiąc językiem naszych gospodarzy wiejskich, czworaki: widać to odrazu po podzieleniu i rozkładzie, okalających je ogródków, i po kolorze; dziwne to, ale zapewne w pojęciach właścicieli niezbędne, że każda ćwierć domu, należąca do oddzielnego mieszkańca, pomalowana jest z zewnątrz inną barwą. Ulice niedość może szerokie, ale czyste i opatrzone ściekami. Około godziny 10 z rana panuje tu grobowa cisza: mężczyźni w fabrykach, dzieci w ochronkach lub szkołach, dużo kobiet w pralniach; a jednak wszystkie drzwi, bramki i okna stoją otworem: widać, że kradzieże nie są tu we zwyczaju.

Cofnijmy się myślą wstecz o lat trzydzieści. Już w r. 1851 Mülhuza myśleć zaczęła o polepszeniu coraz to wzrastającej liczby robotników. Zasłużone towarzystwo przemysłowe tameczne szukało najodpowiedniejszej drogi ku temu: badano budowle angielskie dla wyrobników, świeżo wzniesione przez małżonka królowej angielskiej; studyowano tak zwane koszary robotnicze, ogromne gmachy, mieszczące po kilkadziesiąt rodzin pod jednym dachem; wertowano dzieło Robertsa o pomieszkaniach dla klas roboczych, świeżo naówczas przełożone na język francuski z polecenia ks. Ludwika Napoleona; wzywano posiadaczy zakładów fabrycznych, aby nadsyłali swoje plany i projekta. Ze wszystkich tych poszukiwań wynikło przeświadczenie, iż najdogodniejszemi będą domki, dozwalające każdej rodzinie mieszkać zupełnie oddzielnie i korzystać z odrębnego kawałka ogrodu. Upatrywano w tem nietylko pożytek materyalny ale i moralny. Słusznie bowiem powiadano, że robotnik wtedy tylko chętnie spędzi wolne godziny w domu, kiedy ten pociągnie go ku sobie urokiem niezależności, czystości, ładu, zdrowego powietrza i pewnego komfortu; bo właśnie, pragnąć, aby był moralnym, trzeba go przynęcać do własnego domu, do ogniska rodzinnego, do rozrywek spokojnych a uczciwych.

Odwołano się tedy do szlachetności bogatszych mieszkańców Mülhuzy, prosząc ich, aby na próbę zbudowali kilka domków wzorowych. Jan Dollfus, którego imienia nie zapomną roczniki tak zwanego „stanu czwartego," oświadczył gotowość zadosyćuczynienia odezwie towarzystwa przemysłowego i wybudował pod miastem kilka domów różnego rodzaju. Wydzierżawiono je zaraz robotnikom. Czekano lat parę, aby doświadczenie wykazało dogodności i niedogodności różnych typów pomieszkań; pocem dwa z nich przyjęto za wzorowe: później wzniesiono mnóstwo takich, w Mülhuzie i gdzieindziej.

Tymczasem przystąpiono do rozbioru pytania: czy przyjąć należy za zasadę *dzierżawę*, czy *skup* pomieszkań, oraz jakim sposobem odbywać ten ostatni, jeżeli się wyda stosowniejszym od dzierżawy. Po długich naradach, w czerwcu r. 1853, zawiązano „mülhuzeńską spółkę dzielnic robotniczych." Przystąpiło do niej na początku dwunastu uczestników, z kapitałem 300,000 franków; Jana Dollfusa obrano prezesem. Cesarz Napoleon udzielił zapomogi w ilości tyluż tysięcy franków—i czynem tym znakomicie poparł usiłowania inicyatorów prywatnych. Subsydyum tego użyto na urządzenie ulic, chodników, ścieków, zdrojów, zasadzenie drzew, założenie pralni, kąpieli, piekarni itd. Tym sposobem uwolniono domki od ponoszenia ciężarów, wynikających z potrzeb koniecznych, ale podnoszących cenę samych pomieszkań. Przyjęto zasadę skupu, to jest sprzedawania domków lub ich części za spłatą długoletnią; wydzierżawiano je wtedy tylko, gdy się nabywcy na razie nie nastręczali, co zresztą rzadko bywało. Domek, oceniony 3000 fr., sprzedawał się na następnych warunkach: nabywca obowiązywał się wnieść z góry 300 fr.; opłacać miesięcznie po 25 fr.; w razie niemożności uiszczenia się, wyliczano mu po 22 fr. dzierżawy miesięcznej, a wniesioną przewyżkę zwracano; w ciągu pierwszych lat dziesięciu nie inaczej dozwalano odprzedawać lub od siebie wydzierżawiać części mieszkania, jak za zgodą zarządu spółki, a to w celu zapobieżenia wmieszaniu się spekulantów i zbytniemu nagromadzeniu lokatorów. Wnosząc po 300 fr. rocznie, nabywca spłacał wartość domku i ogrodu w ciągu niespełna lat 14 (jeżeli, ma się rozumieć, nie przyśpieszał dobrowolnie tego terminu, wnosząc większe kwoty, peryodycznie lub jednorazowo) i wtedy stawał się wieczystym, nieograniczonym właścicielem. Oczywiście 300 pomnożone przez 14 daje kwotę wyższą od 3000 f., właściwej ceny domku; przewyżkę stanowią odsetki od niespłaconej pozostałości kapitału. Ponieważ niektórzy nabywcy nie byli w stanie wniesienia 300 fr. wstępnych, dozwolono więc tę kwotę rozkładać na raty miesięczne. Jak widać z powyższego rachunku, skup własności przewyższa miesięcznie o 3 fr. tylko dzierżawę; cóż to więc za dobrodziejstwo wyświadczono mnóstwu robotnikom, dozwalając im — za 36 fr., wnoszonych rocznie nad zwykłe komorne, stawać się, po latach kilkunastu, wieczystymi właścicielami porządnego i zdrowego mieszkania!

Do r. 1882, a więc w ciągu niespełna lat trzydziestu, wybudowano i sprzedano 996 domów robotniczych w Mülhuzie, za sumę przeszło 4 milionów franków. Mieszka w nich przeszło 7000 dusz. Ma się rozumieć, że do chwili obecnej liczby powyższe urosły, bo zakłady te rozwijają się ciągle.

Dla wygody nieżonatych, świeżo przybywających lub czasowo bawiących robotników, wybudowano w środku dzielnicy duży zajazd; wygląda on porządnie i czysto—zarówno wewnątrz, jak zewnątrz; posiada obszerną salę wspólną, w której zbierają się lokatorowie zajazdu w wieczory zimowe lub słotne, dla wspólnej zabawy i pogawędki. Cena pokoiku, schludnego i ciepłego, umeblowanego i dość obszernego, jest bajecznie niska: sześć franków miesięcznie. Do zajazdu nie wolno wchodzić po dziesiątej wieczorem, ani też przyprowadzać płci pięknej.

Domki same, jak wyżej wspomniałem, dwóch są gatunków: parterowe i piętrowe. Te ostatnie rozmaicie były stawiane: albo po dwa obok, z ogrodem od przodu (takich obecnie już nie budują, bo się okazały niepraktycznemi), albo tak zwane czworaki, otoczone ze wszech stron ogrodem, podzielonym na cztery części (te uważają za najlepsze, chociaż są stosunkowo droższemi). Są także czworaki bez piętra, najtańsze, wąskie a długie, otrzymujące światło z dwu stron.

Dom, to jest czwarta część czworaka, zajmuje około 40 metrów kwadr. powierzchni, a ogród około 120 m. Obliczono, że ogródki produkują ogrodowizn wartości 30 do 40 fr. rocznie. Oprócz tego stanowią one wielką wygodę i przyjemność: dostarczają miłej rozrywki, świeżego powietrza i miejsca zabawy dla dziatwy, która inaczej zmuszonąby była bawić się na ulicach i być narażoną na przypadki. Wyglądają te ogrody bardzo ładnie: dużo w nich kwiatów, pnących się roślin, altanek, a przedewszystkiem czystości. Opowiadają, że gdy minister Duruy zwiedzał w r. 1864 Mülhuzę i oglądał dzielnicę robotniczą, wszedł do jednego z domków, aby go obejrzeć szczegółowo; zastał tam żonę wyrobnika, który był wtedy w fabryce i rozpytywał się o warunki ich życia; na pytanie: gdzie mąż spędza wieczory, kobieta odpowiedziała: z nami, *od czasu gdy mamy dom własny*. Widać z tych kilku słów, jaki umoralniający wpływ wywiera posiadanie własnego ogniska.

Ulice ozdobione są dwoma rzędami lip i oświetlone gazem; co paręset kroków widać pompy. Czworak, razem z uliczkami i przechodami, zajmuje powierzchni 912 metrów kwadr. Ogrodzenia są sosnowe, przytwierdzone do słupków dębowych, prawie wszędzie umajone winem.

Dawniej fabryki mülhuzeńskie zasilały się głównie kontyngesem robotników ze wsi okolicznych; dzisiaj bardzo wiele rodzin ze wsi tych, prawie połowa owych 7000 dusz, korzystając z taniości domków i bliskości fabryk, przeniosło się do dzielnicy robotniczej. Skutkiem tego oszczędziły sobie dużo czasu, potrzebnego na dwukrotne przebywanie dość odległej niekiedy przestrzeni, umożebniły spożywanie obiadu w domu i uniknęły niedogodności, jakie wynikały z codziennych wędrówek dzieci płci obojej, po nocy — często śród słoty i zimna, co ani dla moralności, ani dla zdrowia pożytecznem nie było.

Sumy, któremi, wedle statutu, spółka rozporządzać może na rzecz pożytku ogólnego, używane były na następne cele: za 35,000 fr. urządzono dwie ochronki; za 4000 fr. zbudowano most na głównym kanale, przerzynającym dzielnicę; 600 fr. kosztuje komorne dwóch domków, które się oddają bezpłatnie kobiecie, doglądającej chorych, i lekarzowi miejscowemu.

Urządzono też restauracyę dla bezżennych i piekarnię w tym samym domu; ta ostatnia zostaje pod ścisłym dozorem zarządu i sprzedaje bochen chleba (pszennego), ważący $2\frac{1}{2}$ kilogramy, o 5 do 10 centymów taniej, niż najtańsza piekarnia w mieście, wszakże nie inaczej, jak za gotowe pieniądze, a to w celu odzwyczajenia robotników od nieopatrznego brania na kredyt. Miesięcznie sprzedaje piekarnia związkowa chleba za 6 do 7 tysięcy franków. Restauracya jest rodzajem taniej kuchni: wydaje obiady za 60 do 75 centymów, a mianowicie: chleb 5 cent., rosół 10 c., wołowina 20 c., jarzyny 15 ct. itd. Jadają w niej najczęściej bezżenni — żonaci przeważnie stołują się w domu.

Przypatrzmy się teraz rozmiarom pojedynczego mieszkania, czyli czwartej części typowego czworaka. Oprócz muru, zajmuje ono przestrzeń, zawartą pomiędzy ścianami dług. 6 metrów, szerokości $5\frac{1}{4}$ m. Najniżej umieszczono sklep, rozciągający się pod całym obszarem mieszkania, wysoki 1 m. 80 cm., oddzielony od izb, nad nim położonych, podwójną podłogą. Dół składa się: z kuchni, mającej szer. 2 m. 4 cm., dług. 3 m. 70 cm.; z izby, zwykle służącej za sypialnię dla starszych, oświetlonej dwoma oknami, łączącej się drzwiami z kuchnią, mającej dług 5 metr., szer. 3 m. 47 cm., wysokości 2 m. 70 cm.; i z położonej obok kuchni, klatki na wschody, przez które się zstępuje do sklepu, oraz wchodzi na piętro, a jeszcze wyżej na strych; wolne miejsca pomiędzy wschodami obrócono na liczne szafy; wszystkie wschody są zamknięte. Na piętrze mieszczą się dwa pokoje—jeden o dwu oknach, drugi mniejszy o jednem; wysokość taka ż, jak na dole, 2 m. 70 cm. Zdarza się często, iż mieszkańcy odnajmują jeden z tych pokojów, szczególniej gdy nie mają dzieci. Pod dachem urządzony jest skład na drwa, bieliznę itd. Dachy

są z dachówek. Ścieki wody deszczowej i kanały dla odprowadzenia nieczystości z domu, oraz z malutkiego przybudowanego doń domeczku, są bardzo starannie i umiejętnie urządzone, jak również wentylacya od dołu do góry.

Inne domki, szczególniej parterowe, mają nieco odmienny rozkład wewnętrzny i obszar. Niektórzy wypłaceni już właściciele tych domków, za wiedzą zarządu, dobudowali sobie jedno, a gdzieniegdzie i drugie piętro: z początku nie zgadzano się na to, obawiając się napływu obcych lokatorów; później jednak musiano ustąpić natarczywym żądaniom nowych właścicieli.

Jan Karłowicz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Stanisław Skrzyński. **Stan obecny robotnika wiejskiego w Galicyi.**

Autor stara się w broszurze swej dowieść, że robotnik wiejski w Galicyi, chociaż wcale nieźle płatny, a w każdym razie nie gorzej, jak w innych krajach, jest przecie daleko bardziej niedbałym i leniwym—wskutek czego i on sam znajduje się w złym bycie i rolnictwo krajowe nie może się prawidłowo rozwijać; argumentacya jego wszakże nie trafia wcale do przekonania. Obliczając wynagrodzenie robotnika na pieniądze, autor dochodzi do wniosku, że parobek otrzymuje 155 — 200 złr., a dziewka 100 — 118 złr.; cyfry te są trochę może wygórowane: według *Encyklopedyi Rolniczej*, koszt utrzymania czeladzi dworskiej wynosi tylko 100 do 150 złr. Przypuśćmy jednak, że dane autora są zupełnie zgodne z prawdą; w takim razie przyznać musimy, że przy obecnej drożyźnie płaca tak niska, chociaż zabezpiecza robotnika od śmierci głodowej, ale nie daje mu możności zaspokajania w przyzwoity sposób innych, najniezbędniejszych nawet potrzeb. Nie lepiej przedstawiają się zarobki najemników dziennych: dorosły mężczyzna, w najlepszym dla niego czasie, tj. podczas żniw, może zarobić na dobę zaledwie 34.80 centów bez wiktu, w innej zaś porze tylko 22.58 cent.; kobieta przy żniwie zarabia 22—57 ct., w innej porze — 16—47 ct.; na tak nędzną zapłatę pracować oni muszą: latem $9\frac{1}{2}$—12, a zimą 6—8 godzin. Trudno się zatem dziwić, że przy tak niezachęcających warunkach—robotnik nie celuje szczególną oszczędnością, przezornością, pilnością, zamiłowaniem porządku—przymiotami, które według zapewnienia autora, obok głęboko zaszczepionych zasad religii i moralności, stanowią zasób środków, prowadzących jednostkę do dobrobytu. Co zaoszczędzić może człowiek, zarabiający 22 ct. na dzień?—oto pytanie, na które autor żadnej nie daje odpowiedzi.

Najemni robotnicy rekrutują się przeważnie pośród proletaryatu wiejskiego; ci, którzy posiadają choć skrawek ziemi, wolą raczej ograniczyć swe potrzeby do możliwego minimum, niż szukać zarobku na tak niedogodnych warunkach. Ilość włościan bezrolnych coraz bardziej wzrasta. Autor przypisuje to życiu nad stan, brakowi pracowitości i lichwie. Być może, ale jeżeli posiadany kawałek ziemi jest zanadto szczupłym, jeżeli nie ma co oszczędzać, wszelki trud idzie na marne —wywłaszczenie staje się koniecznością, którą lichwa tylko przyśpiesza.

Za wysoce oryginalny uważamy przyjęty przez autora sposób dowodzenia, że robotnik w Polsce austryackiej nie jest gorzej płatny, jak w innych krajach: bierze on dla Galicyi dane z 1882 r., dla innych zaś krajów z 4-go dziesiątka XIX w. (czerpie je bowiem z dzieł, wydanych około 1850 r.); tak zebrane cyfry porównywa ze sobą następnie, jak gdyby między niemi żadna nie zachodziła różnica, zapominając, że w pierwszej połowie XIX wieku wszystkie produkty były tańsze, że więc robotnik mógł otrzymywać nawet niższą płacę, niż obecnie w Galicyi, a pomimo to cieszyć się daleko większym dobrobytem.

Broszurka niniejsza — to echo skarg, jakie często dają się słyszeć z ust osób interesowanych—na brak robotnika, jego lenistwo, demoralizacyę i tym podobne wady. Autor jest gorliwym obrońcą interesów większych właścicieli ziemskich: zarzuca on między innemi biedakom, że nie umieją korzystać z dogodnego dla nich „odrobku“ i przez swą niaakuratność narażają właścicieli na straty; tymczasem z *Encyklopedyi Rolniczej*, którą o szczególną stronność względem proletaryatu posądzać nie można, dowiadujemy się, że odrobek jest korzystnym głównie dla właścicieli, gdyż zapewnia im tańszy najem, i że robotnicy sumiennie spełniają przyjęte zobowiązania. Oburza się on też na robotników za to, że podczas żniw korzystają z pory, i wiedząc, że pomoc ich jest konieczną, skracają sobie godziny pracy, choć wcale się temu nie dziwi, że właściciele nawzajem—zimą znacznie obniżają zarobki; jest nakoniec wielkim zwolennikiem płacy od sztuki, jako najdogodniejszej dla najmujących.

K. P.

LIBERUM VETO.

Wzorowy gmach szkolny. — Achilles naszej pedagogiki i jego Homer. — Trudność walki z przesądem. — Cnotliwa Jadwinia i kanarek księdza kapelana. — Pomysłowy pogromca zabobonu. — Prosty szwindel na tle „swojskiego humoru“ i „rodzimego ciepła.“ — Nieszczęście anielskiej redaktorki anielskiego pisma. — Sądy przy drzwiach otwartych i zamkniętych.

Pan Wojciech Górski wybudował przy ulicy Spokojnej wzorowy gmach szkolny. Zasługę szanownego pedagoga oceni każdy, kto wie, jak wielkiem jest u nas znaczenie inicyatywy prywatnej. Co do mnie jednak, to mam pewne wyłączne powody do wynurzania p. G. mojej głębokiej wdzięczności; przypuszczam bowiem, iż żaden z przyszłych jego wychowańców nie będzie pisał nigdy takich artykułów wstępnych, jakim pewien kuryerkowy Homer uczcił Achillesa naszej pedagogiki. Nie mówię już o tem, iż cały ów hymn pochwalny przypomina żywo poematy w rodzaju: „niema już siwizny!!!“—albo ballady o „wybornej pieczeni z rożna, której u N. zawsze dostać można;“ ale dlaczego natchniony autor żywi tak wielki wstręt do stylu i logiki?

„Nie dla osobistego interesu (zapewne: nie *tylko* dla itd.?) zbudował p. Górski *gmach szkolny*; *dzieło* jego należy uważać jako *dzieło* publiczne. Dał on Warszawie wzorowy *gmach szkolny*, a społeczność warszawska powinna uznaniem ogólnem otoczyć *gmach* ten (czy szkolny?), w *którego* murach kształcić się będzie młode pokolenie, w *których* (?) rozlegać się będzie *zawsze* prawdziwe słowo nauki, wolne od przesądów i nienawiści. Pan Górski może z dumą spojrzeć na *dzieło* swoje, wszyscy ludzie dobrze myślący mają dla *dzieła* jego najwyższe uznanie.“

Po przeczytaniu tego „dzieła“ o *dziele* p. Górskiego powstaje w głowie „wzorowy gmach“ Babelu. Przypuszczając jednak, iż autorowi żaden „gmach szkolny“ nie mówił nic ani o stylu, ani o logice, zapytam tylko szan. Homera, skąd się dowiedział, że w nowoutworzonym zakładzie „*zawsze* rozlegać się będą słowa prawdziwej nauki, wolne od przesądów i nienawiści?“ Jeżeli mu bowiem p. G. udzielił nawet na piśmie stosownego zapewnienia, to chyba ręczył tylko za siebie, a wszak „wzorowe gmachy trwają dłużej, niż życie pojedynczego człowieka i niż sława niektórych naszych Homerów. Jakkolwiek w surenach szkoły będzie i wzorowa pralnia, to nie znajdzie się tam chyba tak mocnego ługu, któryby z głów uczniowskich „wytrawił“ wszystkie banialuki, jakiemi niektórzy nasi pedagogowie „łagodzą“ zbyt żywe blaski wiedzy. Że walka p. Górskiego z przesądem nie zawsze zwycięstwem prawdy się zakończy, że p. Górski często znajdzie przeciwnika nawet w szeregach domniemanych sprzymierzeńców—na to najlepszym będzie dowodem autentyczny fakt, który teraz opiszę.

Opowieść wyjmuję z ust jednej z przełożonych pensyi żeńskiej. Zacna kierowniczka zakładu pragnęła również, aby i u niej nauka wolną była od przesądów i nienawiści. Zacząwszy od rzeczy drobnych, doszła po pewnym czasie do tak wielkiej śmiałości, iż odważyła się powiedzieć swym uczennicom, że umarli pod żadną postacią nie powracają z „tamtego świata“ na ziemię... Nowatorstwo takie przyjęto zrazu z ogólnem niedowierzaniem. Opierała mu się najdłużej pewna cnotliwa Jadwinia, w której główce ze szczególną łatwością legły się wszystkie tradycyjne bąki i wróble zabobonu. Powoli jednak szatan niewiary opłątał i tę niewinną istotę tak, że nawet wilkołaki nie budziły w jej serduszku należytej obawy. Przełożona tryumfowała — niestety zbyt krótko!

Po jednej z lekcyi religii do gabinetu *madamy* wpadła z płaczem cnotliwa Jadwinia...

— Pani mówiła nam, że zmarli nie przychodzą, a tymczasem... ksiądz kapelan... przyjaciel... kanarek...—łkając mówiła dziewczynka.

— Co za kanarek? Cóż się stało? — zapytuje zdziwiona i trochę przestraszona wychowawczyni.

— Księdzu kapelanowi *zjawiał się* umarły jego przyjaciel w postaci kanarka.

Odtąd w główce Jadwini lęgły się nietylko wróble, ale i kanarki, a w zakładzie naszej przełożonej prawdziwe słowo nauki nie mogło się uwolnić od przesądów.

Uwolniła się od nich natomiast zupełnie pewna „nasza chluba narodowa,“ w której największą odrazę obudził przesąd *literackiej uczciwości*. Wiedząc dobrze, iż do przedstawicielstwa narodu idzie się u nas przez garderobę Melpomeny, ów pogromca zabobonu zaczął pisywać sztuki teatralne, „owiane rozumie się. serdecznem ciepłem swojskiego humoru.“ Redakcya *Kuryera Warsz.* zamówiła już była dla mistrza odpowiedni fotel w polskim Panteonie i wszystko byłoby się świetnie udało, gdyby nie złośliwość naszego reżysera. Przed niedawnym czasem zarząd teatru otrzymał od pogromcy rękopis komedyi z prośbą o 200 rublowe honoraryum. Ponieważ objętość utworu i poważna firma autorska przemawiały stanowczo na korzyść proszącego, więc żądaną kwotę wypłacono mu bez zwłoki. Gdy jednak rękopis dostał się do rąk reżysera komedyi, okazało się, iż „rodzime ciepło“ nowego płodu ogrzewało już niegdyś deski naszej sceny, rozumie się za pieniądze, i że ów beniaminek swojskiej muzy różnił się od sprzedanego dawniej do niewoli teatralnej syna, głównie imieniem. Na czynione zaś przez reżyserę zarzuty przemyślny komedyopisarz odpowiedział z całą swobodą:

— Wszak miałem prawo kopiować siebie samego, a co do pieniędzy, to mogę oddać je kiedyś!

Spekulacya więc nie zupełnie się udała. Aby sobie powetować przykry zawód, postanowił autor raz jeszcze spróbować szczęścia. Ofiarą jego planów padła tym razem redaktorka pewnego anielskiego pisma; miłe dziecią̨tko, ochrzczone przez dowcipnego papę po raz trzeci — rozsiadło

się wkrótce na świętobliwych szpaltach. Sumienie rodzica wzruszyło się już jednak o tyle, że za zaszczyt piastowania swego ulubieńca kazał zapłacić sobie tylko połowę tej sumy, jaką wziął był w teatrze, t. j. rs. *sto*.

Sprawy tego rodzaju radziłbym rozpatrywać w sądach naszej opinii publicznej, przy drzwiach jak najszerzej otwartych; nie jestem bowiem takim przeciwnikiem jawności sądowej, jak jedno z naszych pism codziennych. Organ ten, którego kierunek nazwałbym postępowo-konserwatywnym i którego niedoświadczone oko dostrzegło w rymowanych płodach p. Z. Gl. „oazę na pustyni naszej poezyi,“ organ ten, powiadam, oświadczył się niedawno na korzyść... „drzwi zamkniętych.“ Jakiś sędzia pokoju nawymyślał pewnemu ziemianinowi, ten zaś usiłował podać w wątpliwość niektóre przymioty stróża sprawiedliwości... Cała rzecz jest dość brudną chryją. Otóż postępowy nasz konserwatysta radzi z tego powodu, aby dla uniknięcia zgorszenia, salę posiedzeń sądowych zamknięto przed publicznością na kłódkę...

Projektodawca zapomniał, iż podczas wakacyj wszystkie swawolne chłopcy oddają się z zapałem przewracaniu cudackich kozłów, że więc nieletni do sądu iść nie będą mieli ochoty; co zaś do naszych *starszych*, to tych lada sprawa nie zgorszy: widują oni, panie, takie rzeczy, o jakich się nie śniło nawet „filozofom“ okręgowym. Owszem niech słuchają — niech zawsze słuchają. Może się dadzą przekonać wreszcie, że robak zepsucia nie gardzi sercami nawet naszych najzacniejszych, że zgnilizna wciska się i pod takie strzechy, gdzie na Darwinów i Comte'ów, oczekuje zawsze poświęcone kropidło; że przyczyny choroby nie leżą w braku złotych ołtarzyków i że lekarstwa na nią, nie znajdziemy w szafkach zakrystyjnych...

P. o. P. P.

W PERSPEKTYWIE.

Dzieci bawiące się na łące i szubienica. — Zabawa starszych. — Burza w Ciechanowskiem i „nieprawości całego życia.“ — Ksiądz wikary i jego grzywiasta uczennica. — Moje kazanie do księdza wikarego. — Proboszcz z Czyżewa. -- Działalność *Gazety Świątecznej*. — Lucyan Hłasko i potomkowie dawnych karmazynów.

Kilkunastu chłopców bawiło się na łące. Jednemu z uczestników zabawy zginęła chustka od nosa. Ponieważ święte pojęcie własności było się już skrystalizowało w młodych umysłach, więc podejrzanego o kradzież bohatera postanowiono powiesić... Znaleźli się tedy zaraz: prokurator, sędziowie i obrońcy. Zanim jednak ci ostatni przyszli do głosu, wyrok już wykonano i nieszczęśliwy malec zawisł na pobliskim drzewie. Zapewne młodzi szafarze sprawiedliwości chcieli przez to powiedzieć starym swoim kolegom, że w wypadkach, gdzie się do sądzenia sprawy przystępuje z gotowym wyrokiem — komedya obrony równie skutecznie może się odbyć po egzekucyi. Szczęściem dzieciaki nie dość jeszcze biegłemi były w prawie: świetna mowa jednego z adwokatów, a nadto widok duszącego się towarzysza—skłoniły je do szlachetnej, chociaż nieprawnej amnestyi. Delinkwenta uwolniono z pętlic; ale okazała się potrzeba odwiezienia go do szpitala. Biedak po operacyi stracił podobno na humorze i bliskim jest pomieszania. Nie o tem jednak chcę mówić. Cieszy mnie przedewszystkiem to, że pewne postacie walki ze złem coraz bardziej zyskują u nas na popularności. Dzieci kwakrów „udają“ podobno świątobliwą ekstazę; pociechy ludożerców „bawią się“ w skalpowanie nieprzyjaciół, a nasze bębny „grają...“ w szubienicę. Pieniactwo było i jest jedną z ości w błogosławionym chlebie tradycyi, którym siebie i młode pokolenie karmimy; ponieważ jednak w historyi naszej nie dostrzegam źródeł szczególnego rozmiłowania się w postronku, więc przypisać je muszę wpływom późniejszej cywilizacyi.

Tak bawią się nasze dzieci; starsi szukają rozrywek korzystniejszych. W pewnym dworze pod Tomaszowem Rawskim — powiada *Gazeta Świąteczna* — odprawiony został ze służby rządca, dlatego, że folwark puszczono w dzierżawę. Zawziął się ten człowiek, żeby za jednym razem zaszkodzić dzierżawcy i dziedzicowi; powiedział więc włościanom, że łąki dworskie do nich należą. Zawichrzyło się we wsi od razu. Na łąki, które wypadało już kosić, chłopi wygnali swój dobytek, a gruntów przyległych orać nie pozwolili. Zjechał wójt ze strażnikami, przekładał i upominał, ale bez skutku. Dopiero przy śledztwie obrońca sądowy wytłomaczył włościanom, że głupstwo robią i ciężko za to odpowiadać będą. Usłuchali go i zatarg z dworem ustał.

Ponieważ w owej wiosce ostatni akt komedyi serwitutowej już się był dawno odegrał, więc zabiegi p. rządcy wytłomaczyć można tylko chęcią zabawienia się cudzym kosztem. Gdybym był najskromniejszym nawet radykalistą, operacyom takim musiałbym odmówić mego uznania. Szanowni instruktorowie ludu nie działają w podobnych razach w imię sprawiedliwości, której nie znają, lecz w widokach osobistych, które z altruizmem nic wspólnego nie mają. Większy rozwój sobkowstwa i chciwości u naszych Maćków przedstawia perspektywę tak mało ponętną, że chyba żaden zwolennik wspólnego władania — przystać na nią nie zechce.

Do oczyszczenia naszej atmosfery społecznej z podobnych miazmatów, do przetopienia wszystkich naszych skrystalizowanych i nieskrystalizowanych pojęć — potrzeba byłoby czegoś w rodzaju takiej burzy z piorunami, jaka nawiedziła niedawno okolice Przasnysza i Ciechanowa. Była ona tak radykalną, iż, jak opisuje świadek naoczny, „kto miał gromnicę — zapalił, a skrucha taka w serca ludzkie wstąpiła, że bodaj nieprawości całego życia każdemu przed oczami stanęły.“ Niezmiernie pożądanem jest takie generalne „meldowanie się“ naszych nieprawości przed sumieniem każdego, i gdyby tylko można było z tego trwały odnieść pożytek, tobyśmy już powinni byli poświęcić i „dziesięć obalonych stodół w Dobrzankowie“ i kilkaset bodajby wywróconych drzewek — nawet z korzeniami... Niestety nawałnica przasnyska, oprócz napędzenia złotówek do kieszeni proboszczów za gromnice, żadnych innych dodatnich skutków nie miała, i chociaż piorun „zabił nietylko konia jedzącego obrok, ale i jakiegoś szlachcica—w tej chwili, kiedy ten schylał kornie czoło w modlitwie,“ to jednak „nieprawości całego życia“ zaraz po burzy usadowiły się na nowo w sercach strapionych parafian.

Ktoby też mógł przypuścić, iż nieprawości jedenastoletniej dziewczynki zdołają odstręczyć poważnego pasterza od spełniania obowiązków. W miasteczku Kowalu na Kujawach do nauki religii w miejscowej szkole za uchwałą gromadzką został przeznaczony ksiądz wikary. Matka jednej jego uczennicy, pamiętając nietylko o sercu ale i głowie swojej córeczki, nauczyła ją nosić „grzywkę.“ Tak wczesne naśladownictwo końskiej toalety niekorzystnie oddziaływało na towarzyszki małej elegantki, które też postarały się zbliżyć do czworonożnego ideału. Zły wpływ grzywiastej uczennicy spotęgował się jeszcze bardziej, gdy zaczęła ona przynosić do szkoły jakieś „śpiewki świątowe,“ w których, jak zapewnia *Gaz. Świąteczna*, „wiele nieprzystojności doczytać się było można.“ Nad nieprzystojnościami temi „chichotały razem uczennice, zamiast nauki.“ Ksiądz wikary, wyczerpawszy cały zasób upomnień bez skutku, kazał małej psotnicy „grzywkę“ obciąć. Obrażona tem matka wpadła do nauczyciela i nagadała mu komplimentów, których jednak moje źródło nie chce powtórzyć, „aby nie obrażać skromności ludzkiej.“ Ksiądz wikary przestał chodzić do szkoły, uważszy to wystąpienie za obrazę dla siebie — „i słusznie“ — powiada korespondent cytowanego przeze mnie pisma. Księże wikary, czyż słusznie? Jeżeli się masz obrażać na wszystkie niemądre mamy, to albo się wyrzecz nazawsze powołania pedagoga, albo też staraj się zawczasu o lekarstwo na żółtaczkę. Nie wiemy, o ile obecność twa w szkole była pożądaną. Ty sam jednak uważałeś ją chyba za potrzebną, a w takim razie— czyż wypadało się zniechęcać błahostką? Zresztą — jeżeli mi wolno mówić kazania księdzu — to powiedziałbym, że postępek twój nie był zupełnie taktownym: we wszelkich bowiem tego rodzaju zajściach należy bezpośrednio znosić się z rodzicami, jeszcze przed zastosowaniem ostatecznego środka; gdyż zepsuty i rozdąsany dzieciak rzecz całą opiekunom swym opacznie może przedstawić.

Wiele opisanych tutaj szczegółów zaczerpnąłem z *Gaz. Świąt.* Redakcya jej, wygrywając jedną ręką antyfony i koronki dla „kmiotków,“ w drugiej stara się im podawać potrosze ożywczego napoju wiedzy. Jakkolwiek podróży do nieba cywilizacyi i postępu nie odbywałbym nigdy przez kruchtę, to jednak wyznać muszę, iż dzięki systematycznej działalności przeróżnych naszych powag — dzisiaj tylko tacy uczciwi *organiści* na ludek nasz wpływ mogą wywierać publicznie. Zresztą ciemnota tak już nam obrzydła, że bodaj światło poświęconych nawet kaganków jest pożądanem. Doszedłszy do jakiej takiej samowiedzy, będziemy mogli zapalić sobie i mniej kopcące świeczniki.

Bardziej był wytrwałym od księdza wikarego i lepszych się doczekał owoców pracy — proboszcz w Czyżewie. Objąwszy parafię, złożoną przeważnie z pijaków i pieniaczy po swoim poprzedniku, który przez 20 lat nie mógł sobie z nimi poradzić, proboszcz czyżewski w niedługim czasie potrafił okiełznać karczemne instynkty owieczek. Metoda działania i tutaj polegała na stosowaniu środków katechizmowo-zakrystyjnych, z tą tylko różnicą, że rozsądny proboszcz, dawszy za wygraną rodzicom, wziął się do umoralniania ich dzieci. Moralność małych zaimponowała starym, którzy też niezwłocznie zaczęli się poprawiać. Sposób księdza proboszcza powinien być wskazówką dla wszystkich naszych działaczy społecznych, na jakim gruncie zasiew rzetelnego postępu najlepiej wejść może.

Do takich rozumnych a niezmordowanych pracowników w naszej „winnicy“ należał zmarły przed niedawnym czasem, pod Mińskiem, Lucyan Hłasko. Osiadłszy na Białorusi, młodzieniec ten ujrzał dokoła siebie olbrzymią, leżącą odłogiem niwę pracy społecznej. Trzeba wiedzieć, iż strony jego rodzinne zaludnia rzesza owych, na pańskim niegdyś chowanych chlebie, „szaraczków,“ którzy dzisiaj jeżeli nie najniższą, to pewno najsmutniejszą warstwę naszego narodu stanowią. Nie będąc tak przezornymi, jak starsi ich bracia, nie wiedząc, że płaszczykiem tradycyi przykrywać się należy tylko w chwilach krytycznych, oddali się jej oni całą duszą i ciałem. Nigdzie tradycyjne ubóstwo i niezaradność, nigdzie pysałkowatość dziedziczna i pieniactwo tak głęboko nie puściły korzeni, jak wśród rzeszy tych dumnych i ciemnych nędzarzy, których od chłopa

odróżnia tylko krój kapoty i mniejsza doza praktycznego rozsądku.

Nic niema łatwiejszego nad wynarodowienie plemienia lub kasty, których odrębność tylko na rytuale zakrystyjnym się wsparła. To też i z owych zidyociałych maruderów zaściankowej szlacheczczyzny powstał już dziś taki amalgamat narodowości, do którego ani Szajnocha ani Kostomarow przyznaćby się nie chcieli. Pędząc życie bezmyślne i próżniacze i nie mając nic lepszego do roboty, wynalazła sobie ta ciemna szlachta masę jakichś patronów i świętych, których pochodzenia w mongolskiej chyba cywilizacyi szukać przyjdzie. Jakiegokolwiek jesteś wyznania, czytelniku, nie słyszałeś zapewne nigdy ani o „wypietrach,“ ani o „hołoworczach,“ ani o święcie „palikopów“ i innych tego rodzaju. Właściwie mówiąc, wszystkie te barbarzyńskie misterye mają i miały na celu cześć niezapomnianego boga Hellenów — Bachusa. Temu ostatniemu i dzieci nawet 13-letnie służyć nieraz muszą, bo je do tego potomkowie dawnych zmuszają karmazynów...

Przeciwko całej owej niesfornej i ogłupionej hałastrze wystąpił był nieboszczyk Hłasko. Jakimi walczył środkami — mówić tutaj nie miejsce; dość, że uczciwemi i że, jak twierdzi p. A Jelski, walczył wytrwale i skutecznie. Działalność ta była zbyt krótką. Czy ją kto podejmie? Wartoby się, czytelnicy, postarać o taki dla nieboszczyka nadgrobek.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 2 sierpnia.

Dymisya namiestnika Galicyi. — Uchwały Izb francuskich. — Wiadomości z Tonkinu. — Kwestya wielko-chorwacka. — Śmierć Cetewayo i Careya. — Jeszcze o cholerze.

Dzienniki galicyjskie i wiedeńskie mówią znów o usunięciu się hr. Alfreda Potockiego z posady namiestnika i starają się wyciągnąć z tego faktu najrozmaitsze wnioski. Hr. Potocki z usposobienia, ze stosunków rodzinnych, z interesów osobistych wreszcie jest stanowczym zwolennikiem polityki pokojowej, to też jego dymisyę łączono zawsze z możliwością zawikłań na wschodnio-północnej granicy państwa. Jakkolwiek nic nie usprawiedliwia obecnie tych przewidywań, niektóre jednak drobne fakty, jak np. zwiększenie wojsk, konsystujących w Galicyi, lub studya dokonywane przez oficerów sztabu — nadają im pewne pozory wiarogodności. Domniemany wszakże wybór na następcę, p. Zaleskiego — osobistości bezbarwnej pod względem politycznym — usunąć powinien wszelkie w tym względzie obawy.

Izby francuskie, przyjąwszy umowy z towarzystwami kolejowemi, o czem czytelnik znajdzie wzmiankę w innem miejscu, dla uratowania przynajmniej pozorów, zabroniły na przyszłość członkom parlamentu zajmować stanowiska w zarządach dróg żelaznych; ale zarazem osłabiły donioslość tej uchwały zastrzeżeniem, że nie obowiązuje ona w niczem obecnych deputowanych. W senacie przeszedł wreszcie projekt reformy sądownictwa, mającej oczyścić tę gałąź magistratury z żywiołów klerykalnych i monarchicznych. Nowe prawo upoważnia rząd do redukcyi składu osobistego sądów, tym sposobem osoby niemiłe lub podejrzane zostaną usunięte.

Z Tonkinu nadeszły wieści, że „nieurzędowa wojna“ zaczęła się wreszcie. Półkownik Badens zrobił wycieczkę z twierdzy Hanoi i zadał anamitom ciężką klęskę. Dziwnie trochę obok tego wydaje się wiadomość o pomyślnym przebiegu pokojowych układów z rządem chińskim.

Niespodziewanie na porządku dziennym w Austryi zjawiła się kwestya wielkochorwacka. Powód do poruszenia jej dało wysłanie deputacyi do cesarza i petycya posłów chorwackich o wprowadzenie w urzędach Dalmacyi języka miejscowego, zamiast niemieckiego i włoskiego. Sprawa ta niema jednak dotychczas realnego znaczenia; właściwie mówiąc nic takiego nie zaszło, coby usprawiedliwić mogło wywołanie widma panslawistycznej agitacyi, chyba tylko brak tematów w czasie obecnej posuchy politycznej przyczynił się do tego.

Nieszczęśliwy Cetewayo, wypuszczony z niewoli angielskiej, poległ w walce ze zbuntowanymi poddanymi. Monarcha zulusów, podczas krótkiego pobytu w Anglii, przekonał się o wartości cywilizacyi, po powrocie więc do ojczyzny pragnął przeszczepić na grunt afrykański zwyczaje i kulturę ludów europejskich. Ale dzicy jego ziomkowie nie poznali się na wartości tych darów, podnieśli sztandar buntu i czarny cywilizator upadł w walce.

Podówczas gdy zgon Cetewaya wzbudza sympatyę, nie można tego powiedzieć o śmierci drugiego sprzymierzeńca rządu angielskiego. Świadek korony—Carey z otrzymanemi za wydanie towarzyszów pieniędzmi odpłynąć miał do Kanady. Ale na okręcie dosięgła go zemsta irlandczyków. Niejaki O' Donnell wystrzałem z rewolweru położył na miejscu zdrajcę. Zabójcę aresztowano bez oporu. Wypadek ten wywołał wielkie wrażenie w Irlandyi.

Cholera w Egipcie grasuje z przerażającą siłą. W Kairze codziennie umiera po kilkaset osób. Najświeższe telegramy przynoszą wiadomości o zjawieniu się epidemii w Bajrucie i Smyrnie.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zjazd archeologów polskich i małoruskich ma się odbyć w sierpniu, w Haliczu, pod przewodnictwem hr. Włod. Dzieduszyckiego.

Polacy, zamieszkali w Petersburgu, przedstawili ministrowi spraw wewnętrznych ustawę towarzystwa dobroczynności, mającego głównie na celu udzielanie zapomóg uczącej się młodzieży.

Polki-lekarze. *Kraj* komunikuje wiadomość, że w liczbie 35 studentek, które w r. b. ukończyły kursy medyczne w Petersburgu, znajduje się jedna polka, Wiktorya Antoszewicz. Takiż dyplom otrzymała Teresa Ciszkiewicz, która studyowała medycynę w Bernie. Wogóle dotychczas otrzymało dyplomy lekarskie 12 polek, odbywających nauki w Petersburgu i 2, które kształciły się zagranicą.

Prasa rosyjska. Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych oddzielna sprzedaż numerów dziennika, wychodzącego w Moskwie p. t. *Gazeta Hatcuka* — została wzbroniona.

Bibliografia rosyjska. Sanunow— *Witebskaja starina*, tom pierwszy o 700 stronicach z mnóstwem rysunków.

Niższe szkoły rolnicze. Znani na polu naukowem agronomowie lub też gospodarze - praktycy rosyjscy, zapytani przez rząd w kwestyi urządzenia szkół rolniczych dla ludu, przyszli prawie jednozgodnie do wniosków, że zakładanie szkół takich w większych prywatnych majątkach, wobec zasadniczej różnicy wielkiej i małej kultury, nie doprowadziłoby do zamierzonego celu, którym jest rozszerzenie wśród włościan niezbędnych wiadomości agronomicznych. Niższą szkołą rolniczą może i powinna być każda szkółka wiejska; a nauczyciel specyalnie wykształcony może dzielić się swą wiedzą nietylko z dziećmi, ale i z dorosłymi. Szkoła taka powinna posiadać kawałek gruntu, równający się przeciętnemu działowi włościańskiemu w danej miejscowości z odpowiednim inwentarzem. Nasion narzędzi i środków pomocniczych dostarczy ministerryum dóbr państwa. Koszta utrzymania szkoły będą wynosić bardzo nie wiele. Projekt ten jest bardzo praktyczny i większą może przynieść korzyść, aniżeli specyalne szkoły rolnicze przy większych majątkach, które co najwyżej wykształcić mogą tylko dobrych oficyalistów.

Straszna katastrofa. W nocy z 28 na 29 lipca straszne trzęsienie ziemi nawiedziło wyspę Ischię, ulubioną siedzibę letnią zamożnych włochów. Zginęło kilka tysięcy ludzi, zarówno mieszkańców, jak i przyjezdnych gości. Pomiędzy zabitymi znajduje się wielu deputowanych, literatów i artystów. Ranionych przewieziono do Neapolu, gdzie w braku miejsc w szpitalach, zamieniono kościoły na lazarety. Najświeższe telegramy donoszą o wybuchu Wezuwiusza i nowem trzęsieniu ziemi.

Ułaskawienia. Zesłany na Syberyę za nadużycie służbowe generał Makszejew, otrzymał pozwolenie powrotu do Rosyi, ale bez przywrócenia praw. Znana zaś „matuszka Mitrofanija“ widocznie odzyskała nawet prawa, bo, jak donoszą gazety rosyjskie, zamyśla założyć w okolicach Kijowa nowy klasztor żeński. Sprawa b. gubernatora kazańskiego Skariatina została na zasadzie manifestu—umorzoną.

Ciekawy proces. W Symferopolu dymisyonowany pułkownik, Graczow, doniósł policyi, że żona miejscowego obywatela, p. Zofia Arendt (w której niegdyś kochał się Lassalle), ofiarowała do cerkwi (zamiast obrazu świętej Zofii męczenniczki) portret powieszonej królobójczyni—Zofii Perowskiej. Ponieważ śledztwo wykazało fałsz denuncyacyi, pani Arendt oskarżyła szlachetnego wojaka o potwarz i sąd skazał go na dwumiesięczny areszt.

Sprostowanie. W artykule *Wycieczka do Alzacyi*, Nr. 29 — str. 344, łam 1,.wiersz 24 od góry: zamiast zaimprowizować, powinno być *zaimponować;* łam 3, w. 31 od dołu: zam. zeront, ma być *zommes;* wiersz 30—zam. zeront—*zerons.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Іюля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.